

# WIAS

Wydawnictwo Głównego  
Biblioteka  
1948

1948

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 31 października 1948 r.

Nr 44 (173)

W NUMERZE

między innymi:

- A. Radiszczew — Z „Podróży z Petersburga do Moskwy“  
I. Kulczycka-Saloni — Sprawa chłopska w publicystyce wczesnego pozytywizmu  
M. Grad — Wieś W. na społeczno-gospodarczej mapie świata  
L. Szwegrub — „Ostrowianka“  
P. Chmura — Pod Ostrowem Mazowieckim  
E. Niziurski — Pieniądz i filantropia na prowincji  
W. Łukaszewicz — Jaką młodzież przyjmujemy na uniwersytet  
A. Kamińska — Wiersze  
J. Miller — Uwagi o „Dziwnej zabawie“

Bronisław Urbański

## DROGI I ROZDROŻA LITERATURY CHŁOPIEJSZEJ

Kiedy rozglądamy się po literaturze dwudziestolecia międzywojennego, uderza nas chyba najbardziej brak na odpowiedniej pozycji literatury chłopskiej lub raczej może obecność jej na osobliwych pozycjach.

Truizmem jest przypomnienie, że przedstawiciele jej są nieliczni wtedy. Zmniejsza to oczywiście ich szansę na zajęcie pozycji czołowych w literaturze narodowej. — Nie o te pozycje jednak chodzi.

Te same przyczyny, które opóźniły powstanie licznej warstwy inteligencji wiejskiej i udział jej w ogólnonarodowej twórczości kulturowej, powinny uwarunkować jej postawę i jej treściową pozycję w dorobku literackim dwudziestolecia.

Sprawa zależności świadomości społecznej autorów od przynależności do warstwy, bo o to właśnie chodzi, nie jest jednak tak bezpośrednia, ani tak prosta jak mogłoby się wydawać.

Być może kiedyś szczegółowa analiza socjologiczna ustali je dokładnie. W chwili obecnej poprzestać trzeba na rejestracji kilku faktów. Mam wrażenie, że mogą one rzucić nieco światła na sytuację we współczesnej twórczości literackiej chłopskiej.

Kiedy w roku 1935 ukazały się „Pamiętniki chłopów“, z miejsca stały się rewelacją, rewelacją — powiedzmy to od razu — szczerą i ciekawą. Z kart tych autobiografii i pamiętników nieortograficznie i niegrammatycznie, gdzie pragnienie doświadczenia, gdzie

pragnienie odrobiny czasu i warunków, żeby dać świadectwo o życiu ludzi sobie podobnych — była naga prawda o wsi polskiej. Nie owej „wsi spokojnej, wsi wesołej“, ale nieprawdopodobnie zapóźnionej, gospodarczo, społecznie i kulturowo, wsi przeludnionej i pozbawionej ziemi, wsi młotającej się, by znaleźć wyjście z matni. Gdzieś wtedy jednak było miejsce na wyciągnięcie z tego konsekwencji? Czy inteligencja ówczesna była siłą społeczną zdecydowaną na podjęcie tego zadania w skali ustrojowej? Byłoby nawiązaniem przypuszczać, że mogła tego dokonać. Nawiązaniem nawet byłoby mniemanie, że była w ogóle siłą. A komuż z jej mocodawców mogło zależeć na uporządkowaniu spraw wiejskich?

Tym więcej przeto smakowano w surowym prymitywie tych autentycznych dokumentów niedoli chłopskiej. Brzmiały to nieco dziwacznie, ale rzecz można, że prymityw stał się zgola warunkiem, pod którym dozwolono tym ludziom sprowokowanym do głosu przez socjologów mówić w obrębie literatury na tematy najdramatyczniejsze w sensie społecznym. Ba! więcej. Z entuzjazmem udzielano tym prostaczkom miejsca w literaturze pięknej, choć wiadomo, jak w owym czasie o to miejsce było trudno; oceniano autorów niektórych pamiętników na miarę Hamsuna. Dziś łatwiej nam rozemnać się w tym, co to znaczyło i o ile łaskawy patronat nad prostaczkami był wyrazem społecznego protestu, o ile zaś był wyrazem słabości i niechęci do trzeciego rozszerzenia się w sprzecznościach społecznych Polski przedwrześniowej i zajęcia odpowiedniej postawy.

Niewątpliwie jest jednak, że nie chciano owej prawdy widzieć tam, gdzie występowała ona zbrojną w arsenal środków właściwych literaturze inteligencjonalnej.

Lekceważono przeciwieństwo wtedy służące sprawie chłopskiej powieści Wł. Kowalskiego, L. Kruczkowskiego, W. Wasilewskiego z powodów nie najistotniejszych w stosunku do intencji, jakie tym autorom przyświecały.

Prawda o położeniu służby folwarcznej w powieści Wasilewskiej wydawała się tylko propagandą wywrotową. Tym samym łokciem mierzone dokonana przez Kruczkowskiego próba rozwiania narodowych mitów o solidarności szlachty i chłopów, o identyczności interesów tych klas w akcjach wyzwoleniczych, oraz dramatyczny obraz stosunków między dworem a wsią w powieści Kowalskiego

Z życzliwością, w jaką mogły pozwolić interesy własnej klasy, ostrożność i troska o „poziom“, przyjmowano te utwory w kołach postępowej, liberalnej, mieszczańskiej inteligencji, w kołach, które hołdowały literaturze „złego sumienia“, protestu, humanitaryzmu i pacyfizmu.

Ale Kruczkowski, Wasilewski i Kowalski byli „komunistami“. Gdzież tedy działał główny korpus nielicznej literatury chłopskiej? Toć można wymienić Kurka, Piętaka, Burka, Kędziore, Kosełę, Pietrkiewicza, Czernikę, Ozoga, Frasiaka, Olchę, Mortonę, by poprze-

stać tylko na najznaczniejszych. Gdzież ich szukać na ówczesnej mapie społecznej?

Nie ma ich w obrębie literatury mieszczańskiej. Dystans między literaturą tej klasy a literaturą chłopską jest mimo wszystko zbyt znaczny, aby udało się im go przeskoczyć, uniezależniając się od determinantów klasowych. Stachowski w „Skamandrze“ był chyba unikatem.

W drugim natomiast ugrupowaniu, ugrupowaniu opartym o bazę inteligencji typu urzędniczego, jeśli tak rzecz można, powołanej do życia przez odrodzenie Państwa i specyfikowanie się funkcji w jego obrębie. Literatów chłopskich można znaleźć daleko więcej. Sprawa chłopska uderzając falą w tzw. nawę państwową zagrażała m. in. bezpośrednio tej inteligencji i domagała się od niej zajęcia jakiejś postawy. Zbliżenie literatów chłopskich do tego ugrupowania ułatwił być może fakt, że inteligencja urzędnicza ówczesna była w bądź co bądź znaczącym odsetku dość niedawnego stempla (szczególny w tym udział Małopola, w Galicji bowiem już wystąpił proces licznej rekrutacji inteligencji do służby w aparacie państwowym z warstwy ludowej). Historyk oceni także, jakie znaczenie miał flirt z awangardą i na tej boiwni płaszczyźnie dokonywało się zbliżenie, czego najwybitniejszym dowodem Czerniewicz i Piętak.

Nie pozostawała jednak groźna, ale proza powieści, owo „zawieranie życia“. Gdy prawda o stosunkach panujących na wsi stała się zbyt oczywista i natrętna, by udało się przemiłować, próbowano ją przynajmniej w literaturze zeskanotać i zobojeźnić.

Taki los spotkał powieść reportażową Jalu Kurka „Grypa szaleje w Naprawie“. Artystycznie na pewno nie lepsza od powieści Kruczkowskiego, Kowalskiego czy Wasilewskiej miała dla reżimu te zalety, że — choć w jaskrawym sposób malowała stosunki na wsi podgórskiej — nie zawierała generalnego ataku na system społeczny, na ustroj. Zrobiono dobrą minę do złej gry i przynajmniej Kurkowi „Nagrode Młodych“ P. A. L. u rozbrojono ją społecznie udając zrozumienie i troskę dla zagadnień wsi. Podobnie postąpiono ze Stanisławem Piętakiem, który w powieści „Młodość Jasia Kunęfala“ przedstawił sprawę ciężkiego losu inteligencji ludowej bez szans i bez perspektyw. Podobnie złoła została — skoro już o tym mowa — palący problem losów emigracji wiejskiej, poruszony w powieści Wiktora „Wierzy nad Sekwaną“. W podstawowym zagadnieniu wadliwej struktury gospodarczo-społecznej kraju chciano widzieć raczej krytykę bezczynności naszych przedstawicieli zagranicznych. Troska ustrojowa schodziła do rzędu bóleczek biurokratycznych. Na ile te zabiegi ułatwiali sami autorzy nie jest tu ważne, ale patronat rozłoczony przez P. A. L. obowiązywał młodych, nawet gdy wydawało się to jaskrawym radykalizmem społecznym, jak w wypadku Kurka.

Wszystko to przeciwieństwo brać w odpowiedniej proporcji, pamiętając, że odbywało się to na „wyższym zagonie twórczości“ — jak mawia prof. Pigoń.

Cóż znaczyła bowiem dla budzenia świadomości społecznej chłopów, a więc warstwy, z której pisarze chłopi wyszli, powieść w kraju, w którym z reguły rozchodziła się ona w pięciu tysiącach egzemplarzy. Nawet gdy miała ona dwa i trzy nakłady — można było być pewnym, że nie wiele owych egzemplarzy dotarło na wieś.

Wsi brakowało przede wszystkim gazet, czasopism dostępnych w cenie i dostosowanych do potrzeb umysłowych. Mówiac o odbiorcach gazety na wsi mam na myśli inteligencję głównie, inteligencję chłopską, która z najrozmaitszych powodów pozostawała na wsi. Stąd inicjatywa kilku pisarzy ludowych wydawania w l. 1933—34 w Naprawie miesięcznika „Wieś — jej pieśń“, jakkolwiek nawiązująca do tradycji czasopism ludowych, z jej konsekwencjami w treści i formie, miała doniosłe znaczenie. Dawała ona pisarzom ludowym możliwości wypełnienia tych funkcji jakie nakładała na nich przynależność klasowa, w sposób bezpośredni. Pismo egzystowało krótko. Przestało wychodzić z powodu trudności materialnych, ale odegrało w tym czasie znaczącą rolę w organizowaniu pisarstwa ludowego i wytyczaniu mu zadań. Szczególnie pod koniec jego istnienia zaznaczająca się bezkompromisowość i klasowy punkt widzenia nie ułatwiała mu żywota. Nawet wśród współpracowników, zwłaszcza starszych, przywykłych do roli „samowolnych dudarzy, lirników i gawędziarzy“, po-

wodowało to kwas i niechęć. Inteligencki patronat i łaskawa tolerancja dla samorodnych talentów ciążyły na nich mocą wiekowej prawie tradycji.

Zresztą świadomość społeczna wsi nie była w owym czasie jednolita i być nie mogła, choćby ze względu na wewnętrzne różnicowanie gospodarcze. Najwcześniej docierali do kultury, do pozycji inteligenta, a w każdym razie mieli najwięcej szans na to — najzamożniejsi oraz ci, którzy z miejsca poddali się patronatowi dworu lub plebanii. Stara to historia, historia m. in. Ludowo - Narodowców i można było o niej nie wspominać gdyby nie odżyła ona nagle z całą siłą w tym czasie. Cała prawie wieś miała w ówczesnym układzie stosunków powody do niezadowolenia. Nie dziwne przeto że gdy do wsi przysięgło szturm drobnomieszczaństwo, wywodzące się z Narodowej Demokracji, odnowione i rozczuchwalone przykładem Włoch i Niemiec, usiłujące zyskać najbliższych sobie kulturowo i społecznie sojuszników, znaczny odłam chłopstwa uległ. Do konserwatystów chłopskich apelują młodzi faszystki argumentami religijnymi, rasowymi, tradycjonalistycznymi, antyurbanizmem i anty-industrializmem. Radykałów bałamuca wskazując z uporem maniaków na sprawę żydowską jako źródło wszelkiego zła społecznego, od jej rozwiązania bowiem zależy w ich mniemaniu rozwiązanie sprawy przeludnienia wsi, odpływu nadmiaru ludności wiejskiej do miast, warsztatów pracy dla tej ludności w handlu. Były tylko przyczynili się do zniszczenia konfliktowego straganu żydowskiego. Pseudorewolucyjna dynamika, podrażniony kompleks niższości popchnęli wielu pisarzy chłopskich, od bezinteresownych liryków poczynając, a kończąc na publicystach chłopskich, w objęcia faszystwu. Warto przypomnieć, to właśnie Stanisław Piasecki, redaktor „Prosto z Mostu“ dokonał mobilizacji znacznego odłamu literatury chłopskiej pod hasłem „Marsz chłopów na Warszawę“.

Propagowany przez „Prosto z Mostu“ mit narodowej „krzepy“, bezpośrednio, mit szczególnej wartości prowincji zbiegał się z programem autentyzmu w poezji lansowanym przez prowincjonalne czasopismo literackie, wydawaną przez St. Czernikę „Okolice poetów“.

Chłopskość Młodożença, ojdadanaistycznego poety, nie wystarczała programowo „Prosto z Mostu“, toteż wkrótce apogeum sojuszu drobnomieszczańsko - chłopskiego osiągnięto w wysunięciu na czoło „chłopskiego“ poety, autentysty i młodonacjonalisty Jerzego Pietrkiewicza, oraz Wincentego Burka, wyraziela konserwatywnych chłopskich mitów „samodzielnej parceli“ w prozie.

Dla uzupełnienia obrazu literatury na tematy chłopskie dodać trzeba, że w okresie dwudziestolecia międzywojennego, dokładniej pod jego koniec, szczególną popularnością cieszył się w Polsce powieść skandynawska, w znany sposób mitologizująca życie chłopskie. Epopeje chłopskie Skandynawów szerszą kult odrębności etnograficznych, chłopca — człowieka wiecznego, oraz siły jego instynktu. Te skandynawskie normy ideowe i artystyczne nie były naszej rodzimej literaturze całkiem obce. Wystarczy tylko wskazać na Reymonta i Tetmajera choćby. Z nowych owoców tego kierunku wymienić należy powieść najwybitniejszą, Szelburg — Zarembiny „Wędrowną Joannę“ i „Ludzi z wosku“, gdzie w wspólnym planie znalazło się zamoczone chłopstwo i drobnomieszczaństwo. I tutaj chłop był satelitą. Mam na myśli drugą z rządu, wydaną przed wojną, powieść Mortonę „Wawrzek syn Wawrzyńca“.

Po takich ścieżkach kroczyła polska literatura chłopska przed drugą wojną światową.

Z momentem wyzwolenia ziem naszych spod napaści hitlerowskiej wydawało się, że sprawa literatury chłopskiej kapitalnie wyjaśnia się i upraszcza. Chłopskie ugrupowania partyjne stają się współdysonantami środków wiodących do kultury mas wiejskich. Rząd i partie wzmagają świadomość siły młodej inteligencji ludowej, której wieloma sposobami ułatwia się dostęp do kultury. Mnożą się wydawnictwa o charakterze kulturalno - oświatowym, mnoży się liczba czasopism, powstają liczne i głęboko sięgające w teren instytucje służące kulturze, w których chłop, chłopski inteligencja zawarowane mają miejsce. Opiekę nad twórczością ludową obejmuje państwo. Przed literaturą chłopską otwiera się szerokie pole do organizowania świadomości społecznej i wyobraźni wsi.



Julian Gałaj



Stanisław Piętak



Józef Pogan



Teodor Goździkiewicz

Dm 17/02

Manifest Lipcowy uwolnił chłopów, na ile to się dało od ciężarów przeszłości, współodpowiedzialność za przyszłość składającą w ręce chłopów i chłopskiej inteligencji. Jakże wobec tych perspektyw zachował się chłopscy pisarze?

Wyłonił się Oddział Wiejski Z.Z.L.P. o specjalnym charakterze i uprawieniach, powołany jak się zdawało do wypełnienia specjalnych zadań postawionych pisarzem przez nową sytuację klasy chłopskiej. Pisarze chłopscy skwapliwie skorzystali z powojennego głodu książki wznowiając swój dorobek przedwojenny i wydając rzeczy nowe. Czy zawsze warto było ten dorobek przypominać — łatwo osądzić. Rzeczy nowe również — niestety — nie odpowiedziały nadziejom.

Jalu Kurek dał dość osobliwą powieść, której problem wyrównania krzywd społecznych i działalności politycznej sprowadził na grunt góralskiego mitu o Janosiku, dziwnego nabożeństwa działacza S.L.-u.

Morton usiłował co prawda stworzyć chłopską powieść historyczno-obyczajową, ale, jak słusznie stwierdziła krytyka, zamiar ten nie powiódł się. Najbardziej interesujące problemy społeczne zostały w „Inkluzowym wianie” Morton wydobyc w swej powieści barwy przedstawionego czasu. Kardynalnym przeciwieństwem wobec założeń społecznych, było, świadczące o uleganiu dawnym, przedwojennym nawykom mitologizowanie zabobonu i ciemnoty.

Mimo przecie wszelkich usiłowań książka nadal nie dociera do wsi w takiej ilości, w jakiej byłoby to pożądane. Szczególna więc rola przypada czasopiśmiom. I na tym właśnie polu znaczącej najwłaściwiejsze bodaj zmiany w literaturze chłopskiej. Nie moim zadaniem jest ocena naczelnego pisma chłopskiego, tyg. społ.-lit. „Wieś”, ocena przeprowadzonych na

jego łamach dyskusji porządkujących zagadnienia literatury ludowej, jej zadań i perspektyw. Faktem jest, że wielu pisarzy występujących w tym piśmie tematyka i ujęciem swych utworów, nowel, reportaży i wierszy świadczyło korzystnie o dokonywanym się postępie w literaturze chłopskiej. Każdy kto obserwował ewolucję piśmarną Goździkiewicza, Kościńskiej, Dunarowskiego, Gębali, Błachuta, Oleksika i Gisgesa, łatwo to może stwierdzić. Faktem jest również zwrócenie przez „Wieś” uwagi społeczeństwa na talent Pogana.

Książka Pogana „Ugory” jest autentycznym. Podstawą jego prozy jest przeżycie, doświadczenie, lecz jakże odmienne od przeżycia autentystów z dwudziestolecia międzywojennego, przeżycia pozbawionego busoli. Pogan widzi, słyszy i czuje, jak człowiek swej klasy, rejestruje, ale nie na ślepo i nie byle co, choć jego samowiedza społeczna jest niewielkiego kalibru. Znamienne, że nikt nie zwrucił mu tendencji, choć powieść jego jest powieścią społeczną.

Poza bezpośrednim zasięgiem „Wsi”, ale w zgodzie z jej systemem wartościowania znalazła się powieść innego powojennego debiutanta: Juliana Gałaja. Istotnie, powieść zawiera łatwą dającą się oddzielić warstwę spraw politycznych, świadczących o powolnym uświadamianiu się społecznym wsi przez kolejne rozczarowania do tych, którzy rościli sobie pretensje do reprezentowania jej interesów. Pamiętamy zbyt dobrze politykę ludową - narodową w stosunku do wsi, wiemy o robocie sanacyjnej na tym odcinku, znamy wreszcie realną sytuację chłopów w Polsce na przestrzeni lat kilkudziesięciu (1914—1939), żebyśmy mogli zjednać czytelnika surowe referaty na te tematy pomieszczone w książce. Nikt przecie nie zwrócił uwagi na

to, że w szerokich ramach chronologicznych, jakie autor sobie zakreślił, te właśnie rozbieżności między życiem rzeczywistym wsi i jej mieszkańców a wielką historią czy wielką polityką najlepiej świadczą o ówczesnym położeniu chłopów i jego samowiedzy. Każdy szczegół obyczajowy, niech moralistyczny i estetyczny, czy drastyczny, albo niewybredny, dokumentuje dobitnie w sposób pośredni etap rozwoju społecznego tej wsi niż precyzyjnie, ale bezdusznie wypełnione oka siatki socjologicznych pojęć, siatki, którą w powieści należy uznać za czynnik ograniczający epikę.

Tak sumarycznie w przeglądzie przedstawia się nurt postępowy literatury chłopskiej. A reszta?

Znamienne, że zamilkł Burek, bo i gdzieś doprawdy miejsce na mitologizowanie marzeń o chłopskiej samodzielnej parceli. Mistrz autentyzmu Pietrkiewicz na emigracji. Pozostali autentycy nie znajdując posłuchu dla swego światopoglądu, zamknęli się w twierdzy liryki osobistej, ale w tej Grenadzie zaraza. Co gorsza, postawa ta wywiera najfatalniejszy wpływ wychowawczy na innych, sankcjonowany zresztą oficjalną polityką wydawniczą Oddziału. Żalonym przykładem apolitycznej polityki literackiej matadorów, obojętnych na tzw. treści w literaturze, są niektóre tomiki poetyckie biblioteki Oddziału. Oddział nie patronował ani jednemu tomowi prozy i to wcale nie dlatego, że patronat taki był zbędny. W tej dziedzinie twórczości zrezynował zupełnie Zarząd Oddziału z przewodnictwa i chęci podniesienia twórczości w sensie tematycznym. Niewątpliwie winą należy obciążyć tych, co kierując głównym korpusem literatury chłopskiej nie przyczynili się w dosta-

tecznym stopniu do silniejszego związania literatów chłopskich z dziejącą się rzeczywistością wiejską, do przygotowania im narzędzi artystycznych chwytania i rejestrowania życia wsi i zachodzących zmian przy pomocy form mniejszych, mniej ambitnych „Pamiętniki”, felietonu, reportażu, opowiadania i noweli.

Poza pisarzami „Wsi” i kilku innymi, dobrze wrosłymi w grunt swej klasy jak np. Olcha, masa pisarzy odplynęła od warsztatów rokujących jej powodzenie i skuteczność w działaniu literackim, a więc od czasopiśmiennictwa. Na tę drogę trzeba wrócić.

Jakież z naszych rozważań można wysnuć wnioski?

Myślę, że jeśli piśmiennictwo chłopskie chce wypełnić swe obowiązki społeczne, powinno:

a) zaprzestać na pewien czas kultywowania poezji jako najwyższej formy wypowiedzi, bo w niej najtrudniej nauczyć masę pisarzy ludowych. arkanów sztuki, najtrudniej uchronić przed pisarską łatwizną i nadszatkownictwem;

b) skierować pisarzy na teren pracy czasopiśmienniczej, gdzie będą musieli — chcąc nie chcąc — w kontakcie z bieżącym życiem kształcić się i w rywalizacji zdobywać pisarskie kwalifikacje z wysunięciem na czoło prozy w najróżnorodniejszych jej odmianach;

c) przywrócić pisarzom poczucie konieczności ich istnienia, współodpowiedzialności za to, co się dzieje i skłonić do działania na specyficznie, jeśli chodzi o etap rozwojowy gospodarstwa - społeczny i kulturowy, terenie wsi.

Bronisław Urbański

Aleksander Radiszczew

## Z „PODRÓŻY Z PETERSBURGA DO MOSKWY”

Przełożył Seweryn Pollak

**D**ojchawszy do domostwa, wysiadłem z kibitki. Niedaleko od drogi, nad wodą stało wiele kobiet i dziewcząt. Uczucie, które kiedyś panowało nad mną, ale już wygasło, tak jak dawniej skierowało moje kroki w tłum tych wiejskich piękności. Tłum ów składał się z przeszło trzydziestu kobiet. Wszystkie nosiły świąteczną odzież, szyje miały obnażone, nogi białe, nagie łokcie, suknie zatknięte z przodu za pas, białe koszule, spojrzenie wesołe, na policzkach namalowane zdrowie. Wdzięki ich zgrubiałe od skwaru i mrozu, lecz urocze, nieostonione chytrą, piękno młodości w pełnym rozkwicie, na ustach uśmiech lub śmiech serdeczny, a poprzez śmiech widniały rząd zębów, bielszych od najprawdziwszej kości stonowej. Zęby, za którymi szalałyby wykwinisnie. Przyjeżdżając tutaj, miłe nasze moskiewskie i petersburskie szlachcianeczki, spojrzcie na ich zęby, uczucie się od nich, jak je utrzymywałem w czystości. Dentysty nie znają. Nie zdzierają co dzień blasku ze swoich zębów szczotkami ani proszkami. Stańcie z którą chcecie usta przy ustach; żadna z nich oddechem nie zarazi waszych ust. A wasz, wasz oddech być może, da początek chorobie... chorobie, obawiam się powiedzieć jakiej; choć się nie zaczerwienicie, lecz się rozgniewacie. — Czy mówię nieprawdę? — Mąż jednej z was włożył się do różnych ohydnych dziewczek; przejąwszy chorobę, pije, je i śpi z tobą również, inna sama raczy mieć corocznych, comiesięcznych, cotygodniowych, albo — co Boże uchroni! — jednoinnych kochanków. Dzisiaj zawarłszy znajomość i zaspokoivszy swoje pragnienie, jutro nie poznaje wczorajszego kochanka; często nie wie również, że



zaraziła się już przez jeden pocałunek. A ty, kochanie moje, piętnastoletnia dziewczyno, może jeszcze jesteś niewinna, ale na twoim czole dostrzegam, że masz zatrutą krew. Świętej pamięci twój tatuś nie wychodził spod opieki lekarzy, a twoja pani matka, kierując cię na drogę cnoty, znalazła ci już narzeczonego, zasłużonego starego Generała i spieszy cię wydać za mąż tylko dlatego, aby nie złożyć z tobą wizyty w domu sierot. A żyć ze starcem jest nienajgorzej, ma się swobodę; aby tylko być zamężną, wszystkie dzieci i tak ludzie mu przypiszą. Będzie zdrowy — tym lepiej, więcej zadowolenia z kradzionych uciech; od pierwszego zaraz nocy oduczyć go można od nasładowania głupiej, starej mody sypiania razem z żoną.

Nawet nie zauważyłem, jakże miłe, młode mijskie kuzyneczki, ciocieczki, siostrzyczki, brataniczki, długo zatrzymały. Doprawdy nie jesteście tego warte. Na policzkach macie róż, na sercach róż, na sumieniu róż, na szczerości — sadze. Czy róż czy sadze, to obojętne, ucieknę od was galopem do moich wiejskich piękności. Prawda, są pomiędzy nimi

\* Fragmenty z „Podróży z Petersburga do Moskwy”.

Aleksander Radiszczew (1749—1802), pierwszy pisarz rewolucyjny, jest autorem słynnego dzieła „Podróż z Petersburga do Moskwy”, wydanego w 1790 roku. Radiszczew jeden z najbardziej światłych ludzi swojej epoki w Rosji, otrzymał staranne wykształcenie. Wielki wpływ na niego wywarła filozofia francuskich materialistów z okresu sprzed Wielkiej Rewolucji (tzw. encyklopedystów). Wróg samowładztwa carów, wróg ustroju monarchistycznego, w ogóle człowiek, który przestrzegał szlachę, że spotka ją sprawiedliwa zemsta ciemnych chłopów, działacz, który całe swe życie poświęcił walce z systemem pańszczyznianym, był Radiszczew, jak na swoje czasy, postacią niezwykle postępową. W książce swej w jaskrawych barwach odmalował straszliwe skutki nieludzkiej rządu szlachty rosyjskiej nad chłopami, ukazał gołd, nędzę i ciemnotę chłopów rosyjskiego, skutki tepej biurokracji, samowole urzędników. Po raz pierwszy w literaturze rosyjskiej chłop przedstawiony został w dziele Radiszczewa nie jako niewolnik, lecz jako człowiek posiadający prawo do ludzkiej godności.

Lenin pisał o Radiszczewie: „Najboleśniejsze dla nas to widzieć i odczuwać, jak ucisk, przemoc i gwałt zadają naszej pięknej ojczyźnie carscy kaci, szlachta i kapitaliści. Dumni jesteśmy z tego, że ta przemoc natrafiła na opór naszego środowiska, środowiska wielkorusów, to środowisko wydało Radiszczewa, dekabrystów”.

Smak estetyczny Radiszczewa ukształtował się na utworach sentymentalistów francuskich, zwłaszcza J. J. Rousseau'a.

Stąd też w „Podróży z Petersburga do Moskwy” znajdujemy stronice, gdzie chłop został przedstawiony w sposób czułościowy. Ten sposób traktowania chłopów w literaturze, zdradzający u późniejszych pisarzy postawę reakcyjną, u Radiszczewa przy jego radykalizmie społecznym świadczy o humanitaryzmie.

Za napisanie „Podróży z Petersburga do Moskwy” Radiszczew został przez Katarzynę II skazany na karę śmierci, zamienioną w drodze łaski na zesłanie.

S. P.

podobne do was, lecz są również takie, o jakich w miastach ani nie słyszano i jakich nie widziano... Spójrzcie, jak wszystkie części ciała moich piękności są kragle, rosłe, niewykrzywione, nieepsute. Śmiech was, że mają stopy długie na pięć, a może nawet na sześć wershoków. Ale miła moja bratanico, stań z twoją trzywerszkową nóżką obok nich i biegnijcie w zawody; która szybciej dobiegnie do wysokiej brzozy, stojącej na końcu łąki? A... to nie twoja sprawa... A ty, siostrzyczko moja miła, ze swoją trzy czwarte arsyzna w obwodzie talią szydysz, że mojej wiejskiej ruszałce urosł brzuszek. Zaczekaj, moja miła, teraz ja z ciebie pożartuję. Jesteś już dziesiąty miesiąc zamężna i talia ci się zniekształca. A gdy przyjdzie ci rodzić, zaśpiewasz innym tonem. Lecz daj Boże, aby wszystkie skończyły się na śmiechu. Kochany szwagierek spuścił już nos na kwintę. Wszystkie twoje sznurówki rzucił do ognia, z wszystkich twoich sukni powyciągał fiszby. Ale już za późno. Krzywo, zrosniętych twoich stawów nic już nie wyprostuje.

Płacz, mój szwagrze, płacz. Matka nasza, idąc za ubolewaną godną i zaznaczoną przez śmierć kobiet w połogu modą, na wiele lat przedtem przygotowała ci zmartwienie a córce swojej chorobe, dziecom twoim staba budowę ciała. Moda ta wznosił teraz nad jej głową śmiercionośne ostrze i bądź wdzięczny losom, jeżeli nie skróci dni twojej małżonce; a jeśli wierzysz, że czuwała nad tym Opatrzność boska, to dziękuj i jej również, gdy masz na to ochotę.

Wciąż jeszcze mówię o mijskich szlachciankach. Co może przyzwycajenie; trudno się od nich oderwać i doprawdy nie rozstałbym się z wami, gdybym — doprowadzić was do tego, abyście nie różowały swej twarzy i sumienia. A teraz żegnajcie.

Podczas gdy patrzałem na porające suknie wiejskie nimfy, odjechała moja kibitka. Miałem zamiar iść w ślad za nią, gdy jedna z dziewczyn, z wyglądu dwudziestoletnia, a (na pewno) nie mająca więcej niż siedemnaście lat, położywszy swoją mokrą suknię na nosidła, poszła tą samą drogą co i ja. Zrównawszy się z nią, zacząłem rozmowę.

— Czy mi trudno ci dźwigać tak wielki ciężar, moja miła, nie wiem jak się nazywasz?

— Nazywam się Anna, a to co nośne nie jest ciężkie. a gdyby nawet było ciężkie, nie prosiłabym cię, panie, byś mi pomógł.

— Skąd ta surowość, Anusiu, duszko moja, nie życzę ci źle.

— Dziękuję, dziękuję, często spotykamy takich jak ty; idź, proszę, swoją drogą.

— Anusiu, doprawdy nie jestem taki, jak ci się wydaje, ani też jak owi, o których mówisz. Tamci, jak sądzę, nie w ten sposób rozpoczynają rozmowy z wiejskimi dziewczętami, a zawsze od pocałunku. A ja, gdybym cię nawet pocałował, to oczywiście tak, jak rodzona siostra.

— Nie zagaduj z łaski swojej, słyszałam już takie opowiadania; a jeżeli nie myślisz nic złego, to czego ode mnie chcesz?

— Miła moja Anusiu, chciałbym wiedzieć, czy masz ojca i matkę, jak ci się żyje, bogato czy ubogo, czy wesoło, czy masz narzeczonego?

— A na co ci to, panie? Po raz pierwszy póki żyję słyszę takie słowa.

— Z tego możesz sądzić, Anusiu, że nie jestem niegodziwcem, nie chcę cię zelżyć ani pozbawić czci. Lubię niewiasty, ponieważ posiadają one usposobienie zgodne z moją tkliwością, a najbardziej lubię wiejskie kobiety lub wieśniaczki, gdyż nie znają one jeszcze obłudy, nie nakładają na się maski udanej miłości, a gdy kochają, to kochają z całego serca i szczerze...

Dziewczyna patrzyła na mnie wytrzeszczając oczy ze zdziwienia. I tak zresztą być powinno. Któż bowiem nie wie, jak bezcelne zakusy czyni szlacheczka, zuchwała ręka przez nieobyczajne i znieważające cnotę wiejskich dziewcząt żarty. W oczach starych i młodych szlachciców są to stworzenia istniejące po to, aby im dogodzić. Tak też postępują, zwłaszcza z tymi nieszczęśliwymi, które podlegają ich rozkazom. W czasie niedawnego powstania Pugaczowa, gdy cała służba uzbroidła się przeciwko swoim panom, pewni wieśniacy (relacja to prawdziwa), związawszy swego pana, wieźli go na nieuchronną kaźń. Cóż było temu przyczyną? We wszystkim był panem dobrym i ludzkim, ale mąż nie był pewien swej żony, a ojciec córki. Co noc wysłańcy przywozili na poharbienie ofiarę, jaką na ten dzień wyznaczył. Wiedzianno we wsi, że zbeszczył on sześćdziesiąt dziewcząt, pozabawiając je cnoty. Spotkany oddział żołnierzy wywołał tego barbarzyńcę z rąk tych, którzy byli na niego zawzięci. Głupi chłopci, szukaliście sprawiedliwości u samozwańca. Ale dlaczego nie powiedzieliście tego waszym prawowitym sędziom? Skazaliby go na śmierć cywilną, a wy pozostalibyście niewinnymi. A teraz łotr ów został ocalony. Szczęśliwy, jeśli widok bliskiej śmierci zmienił sposób jego myślenia i skierował gdzie indziej jego wigor. — Ale chłop, jak mówiliśmy,

jest martwy wobec prawa... Nie, nie, on żyje, on będzie żył, jeśli zapragnie.

— Jeśli nie żartujesz, panie — rzekła do mnie Anulka — to ci odpowiem: ojca nie mam, umarł dwa lata temu; mam matkę i małą siostrzyczkę. Ojciec zostawił nam pięć koni i trzy krowy. Jest i drobnego inwentarza i ptactwa dość, ale brak w domu parobka. Swatali mnie do bogatego domu za dziesięcioletniego chłopca, ale nie chciałam. Co mi po takim dziecku, kochać go nie będę, a kiedy dojdzie do odpowiedniego wieku to ja się zestarzeję a on będzie się włościł z innymi. A przy tym powiadają, że świekr sam z młodymi synowymi śpi, póki synowie nie wyrosną. Dlatego nie chciałam pójść do jego rodziny. Chcę równego sobie. Męża będą kochała i on mnie będzie kochał, o tym nie wątpię. Latać z chłopakami nie lubię, a za mąż, panie, bardzo bym chciała. A czy wiesz, dlaczego? — mówiła Aniuta, spuściwszy oczy.

— Powiedz, najmiłsza Anusiu, nie wstydz się. Wszystkie słowa w ustach niewinności są bez przywary.

— Powiem ci. Zeszłego lata, rok temu, syn naszego sąsiada ożenił się z moją przyjaciółką, z którą zawsze chadzałam na wleczyrnyki. Mąż ją kocha, a ona go tak kocha, że w dziesięć miesięcy po ślubie urodziła mu synka. Co wieczór wychodzi pięćdziesiąt przed bramę. Nie może się na niego napatrzeć. Wydaje się, że chłopczyna kocha już swoją matkę. Gdy powie mu ona: „a gu, a gu” — to dzieciak się śmieje. Zbiera mi się co dzień na łyzy, bardzo bym już chciała mieć takiego chłopaczka.

Nie mogłem już wytrzymać i uściśnawszy Aniutkę, pocałowałem ją z całego serca.

— Widzisz, panie, jaki jesteś zwodzielec, już zaczynasz ze mną. Idźże ode mnie precz, daj spokój biednej sierocie — rzekła z płaczem Aniuta. — Gdyby żył tato i to widział, to pomimo że jesteś panem, dałby ci po karku.

— Nie gniewaj się, miła Anusiu, nie gniewaj się. Pocałunek mój nie uchybił twojej cnotce. Jest ona dla mnie święta, Pocałunek mój jest oznaką szacunku dla ciebie i jest dowodem zachwytu głęboko wzruszonej duszy. Nie bój się mnie, miła Aniuto, nie jestem podobny do drapieżnego zwierza, jak nasi młodzi panicyklowie, którzy za nie siebie mają uszczknąć cnotę. Gdybym wiedział, że mój pocałunek skrzywdzi cię, to klnę się na Boga, że bym się na to nie osmielił.

— Rozważ sam, panie, jak mam się nie gniewać za pocałunek, gdy wszystkie one są już przeznaczone dla innego. Są już zawczasu wszystkie oddane i nie mam nad nimi władzy.

— Zachwycasz mnie. Już umiesz kochać. Znalazłaś dla swego serca inne, które mu odpowiadają. Będziesz szczęśliwa. Nic nie szkodzi waszemu związkowi. Nie będziesz otoczona przez zalotników, którzy cychają, aby cię złowić w sidła zguby. Słuchu przyjaciela twojego serca nie dotknę kuszący głos, który wzywa cię do naruszenia wierności. Ale dlaczego, miła moja Aniuto, jesteś pozbawiona radości cieszenia się ze szczęścia w objęciach swego miłego?

— Ach, panie, dlatego, że nie dają go nam. Żądają stu rubli. A matka mnie nie wydaje, jestem u niej jedyną w gospodarstwie.

— A czy on cię kocha?

— Wiadomo. Wieczorami przychodzi do naszej zagrody i razem patrzymy na chłopaczka naszej przyjaciółki... Chciałby mieć takiego samego... Smutno mi będzie, ale trzeba cierpieć. Mój Wania chce jechać z flisakami do Petersburga na roboty i nie wróci, dopóki nie wyrobi stu rubli na swój wykup.

— Nie puszczaj go, miła Anusiu, nie puszczaj. Idzie na własną zgubę. Nauczysz się tam pić, puszczając pieniądze, być chciwym, nie lubić roli, a przede wszystkim przestanie cię kochać.

— Ach, panie, nie strasz mnie, rzekła Anusia prawie płacząc.

— A tym bardziej Anusiu, jeżeli mu się przydarzy służyć w szlacheckim domu. Przykład państwa zaraża wyższą służbę, niższa zaraża się od wyższej, a od niej trucizna rozpływa do ciemności i do wsi. Przykład to prawdziwa dzuma; co kto widzi, to naśladuje.



— Więc co robić? W ten sposób nigdy nie wyjdę za mąż za mego Wanię. Czas mu się już żenić. Za innymi się nie ugamia. Mnie za niego nie wydają; do domu; gotowi jeszcze wyswatać mu inną, a ja nieszczęsną umrę ze zmartwienia... — mówiła to, roniąc gorzkie łzy.

— Nie, moja miła Anusiu. Już jutro za niego wyjdiesz. Zaprowadź mnie do swojej matki.

— Oto nasza zagroda — rzekła zatrzymując się. — Idź, idź, matka jeszcze gotowa zobaczysz i pomyśleć co z tego, a choć mnie nie bije, to jedno jej słowo byłoby dla mnie cięższe od wszelkich rąw.

— Nie, moja Anusiu, pójde z tobą... — i nie czekając na jej odpowiedź wszedł przez wrota i prosto po schodkach do chaty. Aniuta wołała w ślad za mną: „zaczekaj, panie, zaczekaj“, ale jej nie słuchałem. W chacie znalazłem matkę Aniuty, gdy miesiła ciasto w dzieży. Obok niej na ławce siedział jej przysły zięć. Bez dłuższych wstępów powieściłem, że pragnę, aby córka jej wyszła za mąż za Iwana i że w tym celu przyniosłem to, czego potrzeba dla przezwyciężenia przeszkód w tej sprawie.

— Dziękujemy, panie — rzekła stara — jest to już teraz niepotrzebne. Właśnie Wania przyszedł powiedzieć, że ojciec puszcza go do mego domu i w niedziele będzie ślub.

— Niechże to, co dałem, będzie posagiem dla Aniuty.

— I zo to dziękujemy. Posag bojarzy nie za darmo dają dziewczętom. Jeżeli zrobiłeś co mojej Aniucie i za to jej dajesz posag, to Bóg cię ukarze za twoją rozpustę, a pieniądze nie wezmę. Jeżeli zaś jesteś dobrym człowiekiem i nie natrąszasz się z ubogich, to gdybyś wziął od ciebie pieniądze, złi ludzie mogliby sobie nie wiadomo co pomyśleć.

Nie mogłem się nadziwić, znajdując tyle szlachetności w sposobie myślenia wieśniaków. Tymczasem Aniuta weszła do chaty i chwaliła mnie przed matką. Usiłowałem jeszcze dać im pieniądze, oddając je Iwanowi na urządzenie domu, ale powiedział mi: „Mam panie dwoje rąk, to nimi urządzę sobie dom“. Zauważywszy, że moja obecność była niezbędna dla nich przyjemna, porzuciłem ich i wróciłem do mojej kibitki.

Przez całą drogę z Jedrowa Aniuta nie wychodziła mi z myśli. Niewinna jej szczerść podobała mi się niezmiernie. Szlachetny postępek jej matki oczarował mnie. Tę czcigodną matkę z zawiniętymi rękawami przy dzieży, albo ze skobkiem przy krowie porównywałem z matkami miejskimi. Wieśniaczka nie chciała wziąć ode mnie nieskazanych, chętnie ofiarowanych stu rubli, które w stosunku do stanu odpowiadają dla Pułkownikowej, Radczyni, Majorowej, Generałowej, pięciu, dziesięciu, piętnastu tysiącom czy nawet więcej. Gdyby zaś pani Pułkownikowej, Majorowej albo Generałowej... (w odpowiednim stosunku do mego datku dla jedrowskiej żony woźni) mającej niebrzydkią córeczkę albo choćby tylko cnotliwą — to by wystarczyło — jakiś bogaty szlachcic siedemdziesiątej, czy też, Boże uchowaj, siedemdziesiątej drugiej próby ofiarował pięć, dziesięć, piętnaście tysięcy czy inne nieokreślone wiano, albo też wynalazł bogatego narzeczonego, to pytam was wiejskie matki, czy nie drgnęłyby wasze serce? Czy nie zechciałybyście ujrzyć waszą córeczkę w wyzłoczonej karecie, w brylantach, jadącą czwórka, jeżeli chadza piechotą, albo jadącą cugiem zamiast w dwie zagłódzone szkapki, które ją zwykłe ciągną? Zgadza się co do tego z wami, że dochowałybyście obrzędów i dobrych obyczajów i nie uległy tak lekko, jak dziewczęta z teatru. Nie, moje miłe, daję wam termin za miesiąc lub dwa, ale nie dłużej, bo jeśli dłużej będziecie zmuszać do bezplodnego wzdychania takiego protektora pierwszej rangi, to ten, ponieważ jest zajęty sprawami państwowymi, rzuci was, aby nie tracić z wami cennego czasu, który lepiej może zużyć ku pożytkowi społecznemu. — Słyszysz już, jak podnoszą się przeciwko mnie tysiące głosów, jak wymyślają mi szkaradnymi wyrazami: oszust, łotr, kanalia, bestia itd... Najmilsze, uspokój się, nie uwłaczam waszej czci. Czyż wszystkie są takie? Spójrzcie w zwierciadło: która spośród was pozna się w nim, ta niech mi wymyśla bez miłośerdzia, skargi na nią nie żółcie, do sądu pozować nie będą.

Anusiu, Anusiu, nabawiłaś mnie zawrotu głowy! Dlaczego nie poznałem ciebie piętnaście lat temu? Twoja szczerca niewinność, nieprzystępna dla lubieżnych zakusów, nauczyłyby mnie chadzać po ścieżkach cnoty. Dlaczego moim pierwszym w życiu pocałunkiem nie był ten, który złożyłem na twoim policzku w zachwycie ducha? Odbicie twej

siły żywotnej przeniknęłoby w głąb mego serca, uniknąłbym szkaradzeństwa, które wypięniały moje życie. Odsunąłbym się od smrodliwych najemniczych żądzy, uszanowałbym małżeńskie łożo, nie naruszyłbym moim cięlesnym nienasyconym związków pokrewieństwa; dziewiczość byłaby dla mnie świętym świętym i nie ośmieliłbym się jej tknąć. O moja Anusiu! Siedz zawsze przed zagrodą i dawaj przykład swą nietrwożliwą niewinnością. Jestem przekonany, że zwrócisz na drogę cnoty każdego, kto zaczyna z niej schodzić i umocnisz w niej skłonnego do zbłądzenia. Nie trwóż się, jeżeli zakorzeniały w rozpuście, osiwiły w objęciach bezwstydu, przejdzie koło ciebie i wzgardzi tobą. Nie usiłuj powstrzymać go słodyczą twojej mowy. Serce jego jest już kamieniem, dusza jego okryta się diamentową korą. Nie zdoła dobroczynne żądło niewinnej cnoty uczynić na niej głębszych rysów. Ostrze jego ześlizguje się po gładkiej powierzchni zatwardziałego grzechu. Uważaj, żeby nie stąpiło się na niej twoje ostrze. Lecz nie przepuść młodzieńca obleczonego w niebezpieczne uroki nadobności; złów go w swoje sieci. Wydaje się być dumny, wyniosły, zapalczywy, bezczelny, łatwo znieważający i krzywdzący. Lecz serce jego na twój widok ustąpi wrażeniu i otworzy się na przyjęcie twojego dobroczynnego przykładu, Anusiu, nie mogę się z tobą rozstać, choć widzę już dwudziesty słup, który dzieli mnie od ciebie.

Widać już było stację chotilowską, gdy rozmyślałem jeszcze o dziewczynie z Jedrowa i w zachwycie duszy głośno wykrzykiwałem: O, Aniuto! Aniuto!

Droga była niegładka, konie szły stępą; mój woźnica, słysząc te słowa, odwrócił się do mnie:

— Widać, panie — mówił z uśmiechem, poprawiając kapelusza, — żeś się na naszą Aniutkę zapatrzył. Ależ to dziewczyna! Nie tobie jednemu nosa utarła... Wszystkich wzięła... W naszej wiosce wiele jest urodziwych, ale wobec niej niech się wszystkie schowają. A jak tańczy! Wszystkich zakasa. Każdego bądź... A jak pójdzie żać w pole... napatrzyć się nie można... Szczęśliwy brat Wańka.

— Czy Iwan jest twoim bratem?

— Cioteczyn. Ależ to chłopak! Jednocześnie trzech zuchów zaczęło chodzić w dwoje do Aniuty, ale Iwan wszystkich się pozbył. Tamci i tak i owak, ale nic z tego. A Wańka? Natychmiast złapał... (Wjeżdżał mi już w opłatki)... Tak, tak, panie, każdy umie tańczyć, ale nie każdy jest tancerzem — i z tymi słowy podjechał pod dom poczty.

— Każdy umie tańczyć, ale nie każdy jest tancerzem — powtarzałem, wysiadając z kibitki...

#### KLIN

Ach królu wielki nasz, co ci dzieją Mesyjasz, przydad rozumu k'mej rzeczy... — te lu-

Paulina Czyżowa

## SENSACJA WIEJSKA

Zgodnie ze swoim charakterem gazety literackiej „Dziennik Literacki“ (135 000 egzemplarzy) chwytła i stylizuje fakty kulturalne na sensację dnia.

Ostatni numer „Dziennika“ przynosi na pierwszej kolumnie „sensacyjną“ artykułik Ireny Merz p. t. „Pochwała żyjących — Jan Marcinek — rolnik, poeta i etnograf.“

Autorka zawiadania na wstępie, że w lutym b. r. (a więc dobre 8 miesięcy temu) „Jan Marcinek 66-letni chłop ze wsi podkrajowej Bieńkowice ogłosił na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności swoją naukową pracę etnograficzną, wyniki badań nad tekstami szopek i pieśni ludowych“.

„Któż to jest Jan Marcinek ze wsi Bieńkowice?“ — píše Irena Merz, której fotografię w czułym objęciu z chłopem Marcinkiem widzimy obok. — „Postać zupełnie nie codzienna. Etnograf i pisarz ludowy, dramaturg i epik, a jednocześnie rolnik uprawiający własnymi rękami ziemię. Człowiek, który osiągnął naukowe i artystyczne, potrafił pozostać jednocześnie wiernym swojej klasie społecznej.“

Katastrofa środowisk robotniczych i chłopskich przed wojną było właśnie to, że inteligencja pochodząca z ich szeregów nie wracała z powrotem do swego środowiska, traciła nawet często wszelkie poczucie przynależności do niego i wspólnoty z nim“.

Wystarczy ten fragment wstępnego artykułu, aby przekonać o typowej biedności ideologicznej, jaką przejawia inteligencja w stosunku do wsi.

Jest moda na wieś, więc ze wsi robi się sensację. Nota? Chciałoby się odesłać autorkę wywiadu z Marcinkiem do wielu artykułów „Wsi“, zawierających analizę kultury ludowej, etnografii i regionalizmu z ich tradycjami społecznymi, pokazujących przykłady „samorodnych“ działaczy kulturalnych wiejskich, nie jednostkowe bynajmniej, a typowe dla epoki kapitalizmu wiejskiego i sytuacji kulturalnej wsi popańszczyźnianej. Niestety autorka wywiadu nie wzięła do ręki przed opracowaniem swego artykułu tygodnika „Wieś“, nie zajrzała do poematu Marcinka drukowanego we „Wsi“ i do historyczno-literackiego komentarza, a przede wszystkim do szeregu publicystycznych artykułików Marcinka we „Wsi“. Informacje swoje o Marcinku i kulturze ludowej wołała czerpać od prof. Pigonia i prof. Seweryna, którzy reprezentują ludomańskie koncepcje kultury wsi.

Toteż i przytoczone zdania Ireny Merz mogły być z powodzeniem napisane w osiemdziesiątych latach ubiegłego wieku, w czasie, gdy to Wacław Nałkowski pisał z „chłopomanią idyllia“ polskiej inteligencji epoki pozytywizmu,

dową pieśń o Aleksym, Bożym człowieku śpiewał ślepy starzec, który siedział pod bramą zajazdu pocztowego, otoczony tłumem dzieci i młodzieży. Srebrna głowa, zamknięte oczy, spokój malujący się na jego twarzy, zniewały patrzył na śpiewaka do szacunku. Jego nieuczony, lecz pełen subtelny wyrazu śpiew przenikał w serca słuchaczy bardziej czujących na głos natury niż wykształcone w harmonii uszy mieszkańców Moskwy i Petersburga, którzy słuchają wymyślnych melodii Gabrielli, Marchesi lub Todi. Wszyscy obecni doznali głębokiego wzruszenia, gdy klinski śpiewak, doszedłszy do rozstrzygnięcia bohatera, co chwila przerywającym się głosem wygłaszał swoją opowieść. Jego zapadłe oczodoły zapełniły się łzami, wypływającymi z duszy czułej na niedole ludzką, potoki tych łez spływały po policzkach śpiewającego. O naturo, jaką posiadasz władzę! Patrząc na płaczącego starca, zaikali niewiasty; z warg młodzieży uleciał nieodstępny uśmiech; na twarzach dzieci zjawił się lęk, niekłamana oznaka słabego, lecz nieznanego odczuwania; nawet wiek męski, tak przywykły do szorstkości, przyobłedił się w powagę. O, naturo — zawołałem znowu...

Jak słodkie jest niebolesne odczuwanie żalu! Jak odnawia ono serce i jego wrażliwość. Plakałem idąc za przykładem woźniców i lzy owe były równie dla mnie kojące, jak lzy które płyną z serca Wertera... O mój przyjacielu, mój przyjacielu! Dlaczego nie widziałeś tego obrazu? Razem ze mną lałbyś łzy, a słodycz wzajemnego odczuwania byłaby jeszcze bardziej rozkoszna.

Po skończeniu pieśni wszyscy obecni dawali starcowi jak gdyby nagrodę za jego trud. Przyjmował wszystkie szelagi i groszaki, wszystkie kromki i skłębki chleba dość obojętnie; zawsze jednak zaopatrując swoją wdzięczność ukłonem, zęgnając się i mówiąc dającemu: „daj ci Boże zdrowie“. Nie chciałem odjechać bez modlitwy tego oczywistego miłego niebiosom starca. Pragnąłem jego błogosławieństwa na dalszą drogę i dla moich żyć. Wydawało mi się i zawsze tak sobie wyobrażam, że błogosławieństwo czułych dusz ułatwia drogę i odbiera moc cierniom wątpliwości. Podeszedłem do niego, do drżącej jego ręki, dłonią równie drżącej z lęku, czy nie robię tego z próżności, włożyłem rubla. Przechodząc starzec nie zdążył wypowiedzieć zwykłego swego błogosławieństwa dla ofiarodawcy, przejęty niezwykłością odczuwania tego, co leżało w jego dłoni. Zraniło to moje serce. Jak znacznie jest mu miłszy — mówiłem sam do siebie — ofiarowany groszak! Odczuwa w nim zwykłe ludzkie współczucie dla nieszczęścia. Mego rubla zaś przyjmuje zapewne jako objaw pychy. Nie obdarza go swym błogosławieństwem. O, jakże wówczas wydałem się sam sobie mały, jak bardzo zazdrościłem tym, którzy dali śpiewającemu starcowi grosik i kromkę chleba! —

— Czy to nie piątka? — rzekł zwracając swoje pytanie w nieokreślonym kierunku, tak jak i wszystkie swoje słowa.

— Nie, dziadku, to rubel — odparł stojący obok chłopiec. — Po co taka jałmużna? — powiedział ślepiec — opuszczając powieki na niewidzące oczy i zdawał się wyobrażać sobie w myśli to, co leżało na jego dłoni — na co ta jałmużna, gdy nie mogę z niej skorzystać. Gdybym nie był pozbawiony wzroku, wdzięczność moja za nią byłaby wielka. Ponieważ ten rubel nie jest mi potrzebny, mógłbym obdarzyć nim biednego. Ach, gdybym miał go po pożarze. Jaki tu się wydarzył, przynajmniej na dobę zamilkłby jęk głodnych piskląt mego sąsiada. Ale co mi teraz z niego? Nie widzę, gdzie go mam nawet położyć; może się on stać przyczyną przestępstwa. Na groszaka nikt się nie pokwapi, po rubla wyciągnie się wiele chętnych rąk. Weź go z powrotem, dobry panie. I ty i ja możemy przez twoje rubia uczynić kogoś złodziejem. — O, prawdo, jak ciężka jesteś dla czułego serca, gdy staniesz się wyrzutem.

— Weź go z powrotem, doprawdy jest mi niepotrzebny i nie wart już go jestem, ponieważ nie służyłem wyobrażonemu na nim monarsze. Podałoby się Stwórcy, abym będąc jeszcze w rzeźkim wieku, pozbawiony został wzroku. Cierpliwie noszę Jego ostrzeżenie. Udzielił mi go za moje grzechy... Byłem żołnierzem, brałem udział w wielu bitwach z nieprzyjaciółmi ojczyzny, walczyłem zawsze bez lęku. Lecz żołnierz stale musi ulegać przynusowi. Zajadłość napełniała zawsze moje serce; nigdy nie oszczędzałem leżącego u moich stóp nieprzyjaciela, nie obdarzałem litością, gdy bezbronny o nią mnie prosił. Pełen dumy ze zwycięstwa naszego oręza, gdy biegłem, aby karać i zdobywać, upadłem przez pędzącą przed mymi oczami kulę armatnią. O! wy, którzy



pójdziecie w moje ślady, bądźcie mężni, ale pomni na ludzkość. — Zwrócił mi rubla i znów usiadł spokojnie na dawnym miejscu.

— Przyjmij dziadku, swój świąteczny pieróg — mówiła, zbliżając się do ślepego blisko pięćdziesięcioletnia kobieta. Z jakim zachwytem wziął go w obie ręce.

— Oto prawdziwa dobroczynność, oto prawdziwa jałmużna. Od trzydziestu lat jem ten pieróg w święta i w niedziele. Nie zapomniałaś o swojej obietnicy, którą uczyniłaś w młodym wieku. I czy to, co uczyniłem dla twojej świętej pamięci ojca warte jest, abys o mnie do śmierci nie zapomniała? Widzicie, moi drodzy, wybrałem kiedyś jej ojca od zwyczajnego i częstego dla chłopów pobicia przez przechodzących wsia żołnierzy. Żołnierze chcieli mu coś odebrać, on się z nimi posprzeczał. Rzecz się działa za stodołami. Żołnierze zaczęli chłopca bić; byłem wtedy sierżantem tej rotty, do której należał żołnierz, właśnie tamtędy przechodziłem, przybiegłem na jego krzyk i uwolniłem od pobicia, a może od czegoś więcej nawet, ale trudno z góry zgadywać. O tym właśnie przypomniała sobie moja karmicielka, gdy ujrzała mnie tutaj w nędzy. O tym właśnie nie zapomina co dzień i w każde święto. To, co zrobiłem, należało do rzeczy niewielkich, ale dobrych, a rzeczy dobre miłe są Panu, u niego nic nigdy nie ginie

— Czy doprawdy tak mnie skrzywdziłeś wobec wszystkich, starzec — rzekłem — i odrzucisz jedynie moją jałmużnę? Czyżby jałmużna moja była jałmużną grzesznika? Ale i ta wychodzi mi na dobre, jeżeli ma zmiekczyć jego zatwardziałe serce.

— Zasmucał już od dawna zasmucone serce — odpowiedział starzec — nie wiedziałem, że mogłem sprawić ci przykrość, nie przyjmując jałmużny, która mogłaby mi zaszkodzić; wybac mi grzech, ale jeżeli już chcesz mi coś dać, to daj coś pozytecznego... Wiosna u nas była chłodna, bolało mnie gardło — nie miałem czym przewiązać szyi — Bóg się jakoś ulitował, choroba mi przeszła... Czy nie masz jakiejś starej chustki? Gdy mnie zaboli gardło, to sobie nią przewiążę szyję, a wówczas gardło przestanie boleć; będę cię wspominał, jeżeli ci jest potrzebne wspomnienie nędzarza.

Zdałem chustkę z szyi i zawiązałem ją na szyi ślepego... Tak się rozstaliśmy.

Kiedym wracał przez Klin, nie znalazłem już starego śpiewaka, umarł na trzy dni przed moim przyjazdem. Lecz chustkę moją, jak opowiadała mi ta, która mu przynosiła w święta pieróg, gdy zachorował, złożył na szyję tuż przed śmiercią i z chustką tą złożono go do trumny. O, jeżeli ktoś zna cenę tej chustki, to zrozumie zapewne, co odczuwałem słysząc o tym

tłum. Seweryn Pollak

rys. K. Baraniecki



Janina Kulczycka-Saloni

## Sprawa chłopska w publicystyce wczesnego pozytywizmu



Aleksander Świętochowski

**G**łówna społeczna polskiego pozytywizmu jest obecnie zagadnieniem zbyt szeroko znanym i omawianym, aby tutaj należało raz jeszcze je poruszać. Wystarczy, że tylko przypomnę, że jednym z ważniejszych czynników w kształtowaniu się spłotu tendencji, zwanych pozytywizmem, było uwłaszczenie włościan, dokonane przez rząd carski w r. 1864. O zdarzeniu tym Piotr Chmielowski, jeden z gorliwych współtwórców i propagatorów tej ideologii trzydzieści lat potem pisze: „Jako ostatnia prawie weszła Polska w koło narodów europejskich za pośrednictwem religii, tak na ostatku w przeobrażeniu swej części pozbyła się resztek średniowiecznego ustroju społecznego. Chłop został nie tylko człowiekiem wolnym, ale i obywatelem kraju“<sup>1)</sup>.

Ale ta pozytywna ocena, to stwierdzenie, że nareszcie Polska pozbyła się resztek średniowieczny, wypowiedziana została dopiero po latach, kiedy to z perspektywy minionego czasu można było ocenić wszystkie dodatnie konsekwencje tego przewrotu.

Spróbujmy zbadać, jakie stanowisko wobec tego chłopu mianowanego „człowiekiem”, „wolnym”, „obywatelem” zajęła publicystyka wczesnego pozytywizmu, a więc pozytywizm najbardziej młodzieńczego, entuzjastycznego i najbardziej przejętego hasłami humanitaryzmu.

We wczesnych rocznikach „Przeglądu Tygodniowego”<sup>2)</sup> poruszone są już takie tematy, jak sprawa żłobków dla dzieci matek pracujących, rzucenie wezwanie do tworzenia kas pożyczkowych przy fabrykach, opieki nad dzieckiem przestępczym, poruszona sprawa dzieci naturalnych i ich pozycji społecznej. Ale sprawa chłopska zajmuje ledwo kilka pozytywnych bardzo ubocznie. Wojują oni namierzenie i chyba skutecznie o racjonalistyczny pogląd na świat, zwalczają feudalno-klerykalne przesady, chcą wyzwolić literaturę od szkodliwych i zabijających ją schematów i podporządkować potrzebom społecznym. Zajmują się sprawą wychowania kobiet, chcieliby je w ogóle zreformować. Widzą szeregi zagadnień miejskich i wskazują mniej lub więcej praktyczne środki ich rozwiązania.

Trudno natomiast znaleźć pozycje poświęcone sprawom wsi. Ci emigranci ze zrujnowanych szlacheckich dworów czy dworów jakoś bardzo szybko zmieszczali i zapomnieli o wsi, która była dla nich punktem wyjścia.

A jeśli pamiętali o niej i jeśli uświadamiali sobie dokonane w jej strukturze przemiany, to traktowali je niemal wyłącznie jako kryzys i katastrofę warstwy wiejskiej. Troszczyli się przede wszystkim o to, by powstrzymać dalszy rozwój tej katastrofy, aby uczynić wszystko co pomogłoby utrzymać ziemię w rękach dotychczasowych jej właścicieli. Stąd częste są artykuły utrzymane w rozmaitych tonie, rozmaicie argumentowane, wzywające ziemiaństwo do przystosowania się do zmienionych warunków gospodarki rolnej. Trzeba nauczyć się kalkulowania kosztów produkcji, czego ziemianin polski nigdy nie umiał, bo oparta była ona na powinnościach; trzeba zrozumieć, że kapitał włożony w ziemię musi procentować tak samo, jak

procentuje w każdym innym przedsiębiorstwie przemysłowym.

Z tego naczelnego stwierdzenia płynie wezwanie do kultywowania nauk rolniczych, do badania gleby i klimatu polskiego, do zastosowania w rolnictwie najnowszych zdobyczy wiedzy tak, jak to czynią rolnicy Anglii i Niemiec.

Dlatego też, co wyda się nam dziwne, publicyści „Przeglądu Tygodniowego” tacy jak Eugeniusz Mierzwinski, Feliks Ehrenfeucht lub nieznanemu autor artykułu „Obowiązek i poświęcenie” (1872, nr. 13) walczą o rehabilitację zawodu rolnika, starają się przekonać ziemian, że zajęcie się rolnictwem jest jedyne niezawodnym źródłem bogactwa narodowego, jest zaszczytniejszym spełnieniem społecznego obowiązku, niż np. praca lekarza czy inżyniera. Jeśli naturalnie pojmie on swoje zadanie nie jako tradycyjne: „siej i zbieraj”, jeśli się będzie starał podnieść wydajność i rentowność majątku, jeśli się będzie kształcił i wprowadzał w życie to, czego się nauczy, stanie się jednostką cenną społecznie. Troska o powiększenie dochodowości rolnictwa panuje niepodzielnie u wymienionych pisarzy. Szukają oni środków zaradczych. Widzą je przede wszystkim w kolonizacji tj. w dzieleniu majątków dużych, a słabo eksploatowanych na mniejsze, a oparte na nowoczesnych zasadach. To samo dotyczy gospodarki hodowlanej, gdzie także propagują zasadę: rób mało a dobrze.

Zgodnie z duchem swojego czasu wołają o zdobywanie i szerzenie oświaty rolniczej, naturalnie tylko na użytek ziemiaństwa przeznaczonej. Oświaty, która da możność przeciwstawić się przechodzącej przez Polskę klęsce urodzajów oraz zaradzić całkowitemu prawie wyjałowieniu gleby skutkiem nieracjonalnej gospodarki.

W tym ujęciu chłop jest dla publicystów „Przeglądu” elementem wrogim: jeśli na ziemiaństwo nasze po powstaniu spadły rozmaite klęski to jedną z gorszych są stosunki z chłopem, występującym w nowej roli.

Bezimienny autor artykułu „Obowiązek i poświęcenie” pisze wprost: „Życie rolnika od dawna straciło ten wdzięk poetyczny, opiewany niegdyś przez poetów, opisywany przez autorów, podnoszony przez nich do możliwego szczęścia na ziemi. Być rolnikiem to znaczy być szczęśliwym, być spokojnym, nie znać tych namietności wirujących światłem, onylwać w dostatkach i wyczerkiwać przyszłości nie troszcząc się o jutro...”

Rolnik dzisiejszy posiada wyjałowioną ziemię, zniszczone gospodarstwo, skrzywiony własny swój charakter niepraktycznym wychowaniem, a na domiar tego zmuszony jest mieć stosunek z ludem ciemnym, prostaczym, z ludem, któremu wiekowi niewola spaczyła pojęcia o sprawiedliwości, słuszości, o jego własnym nawet interesie“.

Tak samo zupełnie traktuje chłopów Feliks Ehrenfeucht, który zastanawiając się nad korzyściami kolonizacji taką między innymi widzi korzyść: „Gdyby do gospodarowania na mniejszych posiadłościach rolnych, nie tylko klasa nieoświeconych naszych włościan, ale i inteligentni ludzie przekonali się chcieli, niewątpliwie szybki postęp rolnictwa przepowiedzieć by można, rola racjonalniej by uprawniona była, włościanin nasz przestałby być konserwatystą przez samą emulację z inteligentnymi posiadaczami małych przestrzeni” (1872, nr. 20). Naturalnie w tych warunkach możliwy jest tylko program „odgórny” — oto przedstawiciele warstw wyższych, kulturalnych zniżają się do ludu, aby podnieść go ze stanu, w którym się znajduje. Tak pojmuje sprawę Gustaw D. (Doliński?) autor jednego z ciekawszych artykułów w sprawie chłopów, ogłoszonym w r. 1869, nr. 18, a noszącym tytuł „Szpitale i lekarze gminni“.

Zaczyna autor od wezwania pod adresem tak zwanych wówczas warstw wyższych: „Lu-

dzie oświaty, ludzie rozumiejący potrzeby społeczeństwa podają rękę swoim mniej oświeconym braciom, przynoszą pomoc skuteczną i ulgę w ciężkiej nieraz potrzebie i niedostatku“.

Daje następnie obraz straszego stanu sanitarnego, odmalowuje typowy przebieg choroby chłopca, który wychodzi z niej zwycięsko tylko wtedy, jeśli jego silny organizm przewycięży i samą chorobę i stosowane przeciw niej lekarstwa. Proponuje też, aby każda gmina opodatkowała się stałą opłatą na utrzymanie lekarza i pomocnika aptekarskiego oraz zorganizowanie szpitala jednego na kilka gmin. Przy sposobności dodaje uwagę, że lekarz taki powinien zrezygnować z marzenia o powozie i wykwintnym apartamencie, pojąć natomiast swoje zadanie jako ciężką służbę społeczną.

Za największą przeszkodę w zrealizowaniu tego projektu uważa autor faktyczną ciemnotę chłopca oraz przekonanie inteligencji o tym, że z takim ciemnym chłopem, jak obecny, nic zrobić nie można. Przeciwno temu próbuje się autor bronić w ten sposób, że chociaż trudno zaprzeczyć, że nasza ludność wiejską należy najpierw wychować do tego, by odczuwała potrzebę lekarza, a potem mu go dawać, to jednak uważa, że wprowadzenie takiej inowacji może sprawę uświadomienia ludu bardzo przyspieszyć.

Kończy wezwaniem, aby opiekę nad zdrowiem ludu nie pozostawiać w rękach obskurantów i szarlatanów, lecz dać mu lekarza, który będzie stróżem jego zdrowia, tak jak proboszcz jest stróżem jego moralności. Ciekawą pozycją jest także artykuł nieznanego autora „Karczma i oświata ludowa” (1872, nr. 10). Zaczyna on od przeciwstawienia się potocznym sądom moralistów i kaznodziej, potępiających karczmę jako miejsce zebrań ludowych. Nie potępiają, ale uszlachetniają, woła do tych, którzy ludowi chcą poświęcić swój czas i troskę. Karczma bowiem jest jedynym miejscem zebrań towarzyskich i jedynym terenem kulturalnych zainteresowań chłopca. Jest potrzebniejsza niż kawiarnia w mieście. Inteligencja i ziemiaństwo powinno dążyć do przekształcenia jej w doskonały dom ludowy.

Tu następuje marzenie o czystym, schludnym otoczeniu zielenią domu, zebrań gminnych, gdzie młodzież spędza czas na grach i zawodach sportowych, rozwijających ciało i uszlachetniających ducha, ktoś starszy i doświadczeńszy czyta na głos ustęp z pisma ludowego lub książki. „A miejscowy nauczyciel lub ktoś inny z ludzi inteligentnych tłumaczy jakiś fenomen natury lub objaśnia wiadomość przeczytaną. Następnie idą koleja tańce, a starsi gospodarze rozprawiają o gospodarstwie, w czym doświadczony rzadca podsuwa im jakaś kwestię, Czarki piwa lub miodu krążą umiarkowanie, lud się posila bawi, a wieczorem trzeźwy i zadowolony wraca do domowej zagrody“.

Ten patriarchalny obrazek umoralnionego, ku oświacie prowadzonego ludu uważa autor za niezmiernie łatwy do wprowadzenia w życie, a co najważniejsze — jego zdaniem — kosztem drobnych tylko ofiar ze strony posiadacza ziemskiego. Z naszego zaś punktu widzenia nie tylko tych ofiar nie wymaga ale nawet godzi się doskonale z jego interesem.

Oto każdy właściciel ziemski wydzierżawiając karczmę nakłada na szynkarza obowiązek prenumerowania i wypożyczania pism odpowiednich dla chłopca. O tym, jakie to mają być książki, co dać można do reki niedoświadczalnemu ludowi, zadecyduje właściciel. On dbać będzie, aby dostarczać chłopu przede wszystkim wiedzy praktycznej, wiedzy naderającej się do natychmiastowego zastosowania w praktyce, sama bowiem wiedza jest dla niego nieprzydatna.

To połączenie propinacji z oświatą, sprządaży wódki z dostarczeniem ludowi odpowiednio dla niego spreparowanej wiedzy wydaje się autorowi najlepszą i niezawodną drogą do zwalczania przysłowiowej oświaty ludowej. „Chłop nasz bowiem, mimo swej uporczywej niechęci dla nowych pojęć i obyczajów, mimo braku wszelkiej nawet oświaty, wszystkie jednak rozumowania nasze chwytą zawsze z chciwością — przywabia je, kombinuje w swym chłopskim, z natury przenikliwym, umyśle. Umiejąc zaś czytać, każdą podaną mu książkę chętnie skwapliwie nawet bierze do reki. Czyż codzienne przykłady najwyraźniej nam tego nie mówią? Niech przeto tylko każda z jednostek wykształceńszych, a żyjących pomiędzy ludem, z głęboką wiarą w zadość i doniosłość celu z całą łagodną serdecznością, z pełną miłością dla tegoż ludu, stara się wytrwać o rozpowrośnięcie pomiędzy nim społecznego i umysłowego wykształcenia, niech szerzenie w ten sposób oświaty postawi sobie za jedno z najważniejszych zadań działalności społecznej, a wtedy nikt się skarżyć nie będzie na lenistwo i obojętność naszego ludu, nikt nie zaprzeczy mu jego gorących pragnień światła, nikt wreszcie rzuconej tu myśli, nie nazwie czczą, marzycielską utopią — lecz owszem, w trafnym zdrowo pojętym zastosowaniu onej — skutecznym prosto do celu prowadzącym środkiem“.

Ciekawszy i bogatszy program oświaty ludowej przynosi bezimienna recenzja „Zorzy”, pisma dla ludu (1871, nr. 26). Autor rozpoczyna od dowcipu, że przekonanie o analfabetyzmie naszego ludu spowodowało zupeł-

nie beztrzęsą wydawców pisma o jego treści: „Obojętne, czym zadrukujemy papier i tak pismo nasze mają w rękach analfabeci”. Poniżej jednak pismo to może przypadkiem trafić na człowieka umiejącego czytać, należy się o nie zatroszczyć.

I tu autor wysuwa program pisma dla ludu: przede wszystkim nie może ono być redagowane przez ludzi osiadłych w Warszawie. Człowiek, który widuje „początki” kmiotków na targu lub na wycieczce do Czerniakowa, nie ma pojęcia o sprawach i interesach ludu. Doświadczenie dowodzi, że najlepiej redagowane pisma wydawali w Prusach osiadli na wsi nauczyciele.

Następnie pismo nie może służyć propagandzie religijnej, nie może być miejscem prorreligijizmu, niech kler katolicki załatwia swoje sprawy w kościele. Pismo powinno szerzyć światopogląd świecki, poruszając sprawy z zakresu etyki, ma podawać „prawdę, broniąca przez zdrową logikę“.

Sprzeciwia się stanowczo preparowaniu umoralniających powieści, gdzie dobry człowiek jest nagrodzony, a zły złyca powieszony, żąda dla ludu literatury pełnowartościowej np. radzi przedrukowywać powieści George Sand (z okresu późniejszego, gdy zbliżyła się do saint-simonistów i pisała powieści w duchu utopijnego socjalizmu), po wprowadzeniu odpowiednich skrótów o charakterze technicznym.

W dziale oświatowym żąda popularyzacji pierwszych wiadomości z zakresu „małej uprawy” rolnej, technologii, hodowli zwierząt oraz potrzebnych dla nauczycieli wiejskich zdobyczy z zakresu rauczenia elementarnego.

Za rzecz pożądaną i nadającą pismu użyteczny, sensowny charakter uważa wciągnięcie chłopów, a przynajmniej średniej inteligencji wiejskiej do współpracy w piśmie.

Oto są skromne a jednak ciekawe zadanki postawienia sprawy włościańskiej przez pozytywistów w okresie nim został sformułowany pełny program pracy u podstaw. Dopiero rok 1873 bowiem przyniesie jego sformułowanie, które da Aleksander Świętochowski. Rzecz ciekawą jest, że cykl artykułów tej sprawie poświęconych zaczyna Świętochowski od w kołłątajowskim tonie utrzymanego uzasadnienia praw chłopca do wolności. Od dziesięciu prawie lat uwłaszczenie było faktem dokonanym, a mimo to istniała potrzeba dowodzenia, że uwłaszczenie nie było aktem krzywdy, wyrządzonej ziemiaństwu, lecz aktem sprawiedliwości. „Plantatorzy zawsze przeklinać będą filantropię za to, że im Murzynów wydarła, podobnie nie jeden panek wypasiony niewolnictwem chłopca złorzeczy losowi, który mu go, to nieoszacowane bydło robocze, w wolnego człowieka zamienił“.

Ale równocześnie stwierdza autor, że chłop tak samo jak ziemianin nie był przygotowany do pełnego wykorzystania dobrodziejstwa reformy. Wójt nie zdawał sobie sprawy ze swojej władzy, nie domyślał się nawet jej rozległości. On, wszechwładny kierownik gminy, zdejmował pokornie czapkę przed zwykłym policjantem lub wystuchiwał tużurkowego interesanta.

Chłop nie dorósł do wyzyskania możliwości, które przed nim stanęły otworem. Nie dorósł, bo był ofiarą wiekowego ucisku, bo był zepchnięty do poziomu roboczego bydlęcia. Wina za to i odpowiedzialność spada na obywateli ziemskich. Chłop to nie uciążliwy sąsiad, ciemny i złośliwy, lecz ofiara ich przemocy. Obowiązkiem ich jest więc odrobienie wiekowych krzywd, nawiązanie nici serdecznego porozumienia z tymi, którzy go się tylko bać i nienawidzić nauczyli.

„Dziś już nie wolno stanąć do walki z losem w zbroi przesady. Dawniej mógł pan wyrwy i trzęsawiska życia zawałać i wyrównywać chłopskim ciałem, ażeby rozleniwiona i czuła jego stoła po gładkiej posuwala się drodze, dziś musi on stopę tę przyzwycaić do wszelkich potknięć i wybojów, a z owym ciałem iść ręką w rękę“.



„Drogi do kultury” rys. F. Kostrzewski

<sup>1)</sup> Zarys najnowszej literatury polskiej str. 14.

<sup>2)</sup> W r. 1866 zaczął wychodzić „Przegląd Tygodniowy”, pod redakcją Adama Wiślickiego, organ młodych powstaniowców, „pozytywistów”, który w powstaniowym ruchu umysłowym odegrał ważną rolę. Stał on na czele „młodej prasy”, która wystąpiła do walki ze „starą, zachowawczą, a poczęści wstępną prasą, o nowe hasła i ideały.

...Adam Wiślicki upamiętnił się jako założyciel „Przeglądu Tygodniowego”, który wydawał i redagował od r. 1866 do r. 1905...

Mieczysław Grad

Walka klasowa na wsi rzeszowskiej (III)

# Wieś W. na gospodarczo-społecznej mapie świata<sup>\*)</sup>

Obraz wsi W. różni się jaskrawo od obrazu wsi wielkopolskiej i pomorskiej, a tym bardziej od obrazu typowej wsi zachodnio-europejskiej, gdzie zarówno poziom cywilizacyjny i zróżnicowanie klasowe przedstawiają się zgoła inaczej. Stefan Czarnowski pisze o pewnej wsi bretońskiej (Francja), „w której wszyscy gospodarze zajmują się wyłącznie produkcją młodych ziemniaków, cebuli i truskawek na sprzedaż do Anglii; chłopci to z nazwy i z mniemania własnego; niemniej bliżsi są nastawieniem gospodarczym, rodzajem i techniką pracy, całym sposobem życia przedsiębiorcy ogrodniczemu, niż chłopom w naszym rozumieniu potocznyemu”. W Europie zachodniej wieś pod wieloma względami podobna do rzeszowskiej W. spotkać można obecnie chyba tylko w południowych Włoszech i w faszystowskiej Hiszpanii, gdzie do tej pory trwają stosunki półfeudalne, a w związku z tym niesłychane zafocowanie gospodarzy i społeczne. Ale bo też wieś bretońska czy choćby nawet poznańska ukształtowała odmienna historia gospodarzo - społeczna.

Francja to kraj wczesnego startu i pełnego rozwoju kapitalistycznego. Kiedy Polska wchodziła w pontury okres rozbiorów, które kraj podzieliły na trzy części włączając je do różnych, na różnym szczeblu rozwoju znajdujących się organizmów gospodarczych, francuska burżuazja śpiewała właśnie swą „odę do młodości” i rozwalając feudalne zapory torowała drogę rozwojowi przemysłu. Gwałtowny proces industrializacji kraju wyludnił wieś, której mieszkańcy powiększali szeregi przemysłowego proletariatu. Kto został na wsi, ten przestaczał się stopniowo w kapitalistycznego przedsiębiorcę, lub spadał do rzedu proletariatu rolnego, ale przeważnie szedł do miasta, do przemysłu, który potrzebował jego rąk roboczych. Ten proces spowodował na wsi francuskiej wyraźną polaryzację klasową; towarzyszyła mu także urbanizacja wsi, dla której urządzenia techniczne produkował właśnie rozwijający się przemysł.

Siłę roboczą we francuskim rolnictwie stanowić musieli w stopniu coraz większym sezonowi robotnicy przybywający tu w poszukiwaniu pracy z krajów gospodarczo zacofanych. „W związku z tą emigracją bezrolnych i małorolnych do miast oraz kosztownością sezonowców wytwarzać się zaczęły we Francji stosunki podobne do kolonialnych: wprowadzone zostało półniewolnictwo robotników rolnych cudzoziemskich (Polaków na północy Francji, Włochów i Hiszpanów na południu) w tej postaci, że robotnika zakontraktowuje się na okres przynajmniej roczny w jego kraju, przy czym z płacy strąca mu się koszty podróży, w razie zaś porzucenia pracy ściga karnie; bardzo wielu naszych rodaków dostało się do więzienia francuskiego za to jedynie, że porzucili pracę u źle traktującego ich chłopca pracodawcy. Niczym Hindusi lub Malajowie prowadzeni do pracy na plantacjach trzciny cukrowej w Australii lub na Wyspach Antylskich<sup>2)</sup>. Wyzyskiwani na sposób kolonialny rodacy to właśnie między innymi emigranci z W., zmuszeni szukać pracy u francuskich kapitalistów rolnych, u pruskich junkrów oraz w podziemiach amerykańskich kopalni węgla.

W tym bowiem czasie w kraju ich działały się rzeczy, które w rezultacie doprowadziły do tego, że oto wieś W., jak zresztą setki innych, jeszcze dziś w roku 1948 przedstawia tak potworny obraz zacofania i nędzy. Mianowicie „królestwo Galicji i Lodomerii” w ramach austro - węgierskiej c.k. monarchii zostało poddane isticie kolonialnemu wyzyskowi, w którym uczestniczyły trzy główne siły: feudalny reżim wiedeński, miejscowe, „rodzime” obszarnictwo oraz obcy kapitał, w szczególności zaś niemiecki.

W istocie Galicja była nawet nie półkolonią, ale po prostu kolonią, za taką bowiem uważana była przez Wiedeń. „Przez długie po rozbiorach lata traktowana ona była jako nabytek przejściowy, obiekt dobry na zapłatę za inne, bardziej dla całości państwa cenne krainy (za Napoleona myślało np. o oddaniu Galicji w Polsce w zamian za Ilirję). Z tym wiązała się niechęć do wszelkich wkładów materialnych w gospodarkę galicyjską. Galicja miała płacić jak najwięcej podatków i dostarczać jak najwięcej rekruta. Tego rodzaju rabunkowa gospodarka, dążąca do wyciągnięcia z kraju największych korzyści przy najmniejszych wkładach, doprowadziła kraj ten od poziomu rzadkiego w ówczesnych stosunkach europejskich<sup>3)</sup>. Wszelkie projekty uprzemysłowienia kraju torpedowane były przez idiotyczną politykę gospodarczą miejscowego ziemiaństwa, które w swej krótkowzroczności obawiało się wzrostu bezpośrednich podatków oraz odpływu do przemysłu tanich rąk roboczych ze wsi, świadomie przez obszarników utrzymywanej w ciemności i nędzy. Wreszcie obcy kapitał, którego penetrację ułatwiała polityka celna powiązanego z nim Wiednia, nie dopuszczał do powstawania w Galicji miejscowego przemysłu, ograniczając się do eksploatacji surowca (głównie na-

ty i drzewa) przerabianego następnie w zagranicznych fabrykach. Surowca materialnego no i oczywiście ludzkiego. Tak więc „w ostatecznym rezultacie z omawianego okresu (1864—1914), przyp. mój wyszła Galicja jako kraj największej biedy chłopskiej (największe rozdrobnienie i przeludnienie gospodarstw chłopskich), kraj pozbawiony niemal przemysłu, kraj średniowiecznie jednostronnych społecznych, gospodarczych i politycznych przywilejów ziemiaństwa, wreszcie kraj będący obiektem wyzysku kolonialnymi metodami uprawianego przez kapitał obcy, przeważnie niemiecki<sup>4)</sup>.”

Sytuacja gospodarzo - społeczna Galicji (a w niej wsi W.) na przełomie XIX i XX wieku wiąże się różnorodnymi nićmi z historią nowoczesnego kapitalizmu światowego. Stanowi ona wytwór toczącej się w tonie kapitalizmu walki klas w skali krajowej i międzynarodowej. Kiedy na przykład w roku 1865 rozpoczęła się na obszarach austro-węgierskiej monarchii era wolnej konkurencji, rynek galicyjski opany został szybko przez produkty pobliskiego, przężnego przemysłu niemieckiego. W ten sposób zahamowany został skuteczny rozwój i tak rachityczny przemysł miejscowego. Cóż ten fakt oznacza w kategoriach walki klasowej? — Oznacza on nowe ukształtowanie wewnątrz klasy wyzyskującej galicyjski lud. Mianowicie w wyniku rywalizacji pomiędzy różnymi odłami

klasy wyzyskiwaczy zwyciężyła ta najsilniejsza przemysłowa burżuazja niemiecka. Ale miejscowi feudałowie bynajmniej nie ustąpili z placu. Ostrze ich wyzysku skierowało się w jedynie możliwym kierunku, przeciwko wielotysięcznym rzeszom małorolnej i bezrolnej wsi. Patronował temu procesowi i uczestniczył w nim na swój sposób feudalno-kapitalistyczny ośrodek wiedeński, zamykający obręcz klasowego ucisku wobec galicyjskiego ludu. Przed owym ludem, stanowiącym przeciwstawny obóz walki klasowej, kler rozciągał miraż nagrody niebieskiej za nędzę doczesnego żywota a ludomańska inteligencja wszczała weni mistycyzm utrudniający realne poznanie źródeł nędzy i skutecznych sposobów walki z nią, co w rezultacie działało na rzecz wyzyskiwaczy i jeszcze bardziej pograżało wyzyskiwanych. Owemu ludowi kazano umierać na polach bitew Wielkiej Wojny 1914—1918. Oszukiwano go, że to za ojczyznę. W rzeczywistości ginął on w interesie straszliwie go wyzyskującego austroniemieckiego imperializmu.

W świetle powyższych uwag widoczne stają się również współzależności i powiązania pomiędzy np. sytuacją gospodarzo-społeczna na terenie wsi W. w początkach XX wieku a współczesną sytuacją na wsi francuskiej czy pruskiej. Uprzemysłowienie i urbanizacja wsi francuskiej czy niemieckiej uwarunkowane były odpowiednio pomyślnym rozwojem kapitalistycznego przemysłu tych krajów. Ten zaś z kolei uwarunkowany był posiadaniem dostatecznej bazy surowcowej, eksportowej i roboczej (oraz oczywiście żywnościowej). O'oz

\*) Kula op. cit.

Anna Kamińska

## W I E R S Z E<sup>\*)</sup> STAROŚĆ

Daleki turkot kół. Przerastają ciernie przez krokwie dachu, a deszcz kołysze liśćmi.

Wteńczy w domu samotnym staruszka tłucze o ściany sękami palców. Uśnie jednak znużona kiedy deszczu nowa fala ostygnie i laska w mgłę oddechu w storezyk zakwita.

Co wiosnę te same deszcze padają. W deszczach sypłwa świat ten sam, kiedy bosa stopy dziewczynek czują chłód kropel, mokry przez trawę piasek. Obudzona w szmery wstaje nowych przemijań.

Gdy znowu uśnie ptakom okno otwiera.

Wlatują z deszczem. One to strzepują z piórek błękit lat pogodnych, który nie jest śmiertelny, a także płatki wiśni, które każdy utrwała maj.

Innych wzruszeń nie pragnęliśmy bowiem nigdy.

Czy to w czarnych strużkach ksiąg, czy pod gałęzmi obramującymi światło ocz sączących czułość, czy nawet w strumieniu godzin, które nigdy bez płomienia wiedzy nie dają ziarna gorczycy, czy w snach; gdy rozumiemy, że życiem obłok oddechu nie jest.

Budząc się znowu idzie, znowu towarzyszy jej cień.

Krople nie suną gałęzmi, już tylko wiszą na końcach pąków — srebrne jaja rytmów słowicznych

A gdy usypia — lzy płyną teraz policzkami róż i lekko otwiera się blask po deszczu.

## DROGA PRZEZ BISKUPIE

Którędy droga? Jesienią, jesienią, między oddechy dymnych ról i rżyska, gdzie z mgły kogucie jarzębin grzebienie pieją i rzeka leniwa polyska.

A dalej? Poznasz drogę po badyłach rudych kartoflisk, gdzie w bródzie zaplonie rzucony ziemniak, po gęstych profilach dachów zbudzonych ku zachodniej stronie.

Dążąc uparcie — lasek zdruzgotany przez czarne burze wron miniesz bez słowa, nagi, przez dzieci z kory rozebrany i gniazda wronie kołyszący w głowach.

Cmentarz przed szkołą to będzie jedyna wyspa zieleni jakby płomień zimy. I pierwsze twarze piwnic z żółtej gliny. Dokąd i po co tak szlakiem tym dziwnym?

\*) Wiersze z tomu poezyj, który się ukaze nakładem „Książki”.

bazę taką stanowiły przede wszystkim kolonie i półkolonie. Widzieliśmy już jak celowo i świadomie Galicja zatrzymywana była przez swych gospodarczych i politycznych władców w narzuconych jej kolonialnych funkcjach. Takie „Indie w środku Europy” potrzebne były zachodnim metropoliom kapitalizmu. To też zachodnio - europejska wieś potrzebowała dla swego rozwoju takiej właśnie kolonialnej, galicyjskiej wsi W. z której by płynął strumień rak roboczych. Jeżeli zaś wieś galicyjska wskutek niskiego poziomu żywnościowego nie mogła stanowić odpowiedniego rynku zbytu, którego przemysł zachodni potrzebował, świadczy to tylko o wewnętrznym sprzecznościach kapitalizmu. Wobec tego galicyjskie przysłowie „czegoś biedny, boś głupi i czegoś głupi, boś biedny” nie jest sprawiedliwe. Nędza wsi galicyjskiej to bowiem rezultat nie niedołężności chłopskiej, moralistycznie w dodatku pojmovanej ale rezultat obiektywnych praw rozwoju gospodarzo-społecznego.

A czy w gospodarzo - społecznej sytuacji wsi rzeszowskiej zaszyły jakieś zasadnicze zmiany w okresie międzywojennym? Czy powrót ziem b. Galicji do odrodzonej w r. 1918 Polski spowodował jakaś istotna zmiana na lepsze? Nie W dalszym ciągu nie było przemysłu lub prawie nie było. W dalszym więc ciągu wzrastało przeludnienie wsi i rozdrabnianie gospodarstw. Związczą że w wyniku amerykańskich ograniczeń imigracyjnych zahamowany został exodus za ocean. Sanacyjne zaś rządy nie tylko nie starały się o poprawę złego losu wsi, lecz nawet świadomie go pogłębiały. Jakież bowiem miało praktyczne skutki taka np. jedzielewiczowska reforma szkolna, która utrudniała dostęp młodzieży chłopskiej do szkół średnich?

Zarówno przed wojną 1939—1944 jak i w czasie wojny właściciel wymienionego już w rozdziale I folwarku hrabia Potocki przejeżdżał czasem obok wsi W. w otoczeniu swej „świty”, poprzedzany przez stórę psów. Miał bowiem stary, zapewne jeszcze średniowieczny zwyczaj podróżować od jednej rezydencji do drugiej w okresach swego pobytu w kraju bo niekiedy wyjeżdżał na polowanie lwów do Afryki. Ażby zaś było wiadomo, że zbliża się właśnie pan hrabia, słudzy jego odpowiednio przygrywali na trabkach. Tymczasem na folwarku w ciężkim trudzie pracowali chłopci a trzeba się było zwijać, bo obok stał karbowy z bykowcem. Jakżeż mógł nie bić robotników karbowy hrabiego Potockiego, skoro sam pan hrabia zbił pewnego razu chłopca własnoręcznie do nieprzytomności, za co otrzymał w ówczesnym sądzie tydzień aresztu z zawieszeniem? W tym samym czasie kler wyklinał z ambony miejscowych wicarzy, którzy zresztą bałamučili się tzw. etyką chrześcijańską, i ogłupiał masy chłopskie (dodatkowo) za pomocą tzw „misi”, w których celowali zwłaszcza Ojcowie Redemptoryści.

Pod tym ciśnieniem nieubłaganych praw kapitalistycznego świata które doprowadziły do cywilizacyjnej i gospodarzo-społecznej sytuacji wsi W., naszkicowanej w rozdziale I, rozwijał się na terenie wsi W. własny kapitalistyczny mikrokosmos. To właśnie wewnętrzne ukształtowanie wsi W. jest naszym zasadniczym tematem.

We wrześniu 1948 r. uciałem sobie pogawędkę z jednym z naimażniejszych we wsi W. gospodarzy. Rozmawiamy o nowościach, a zwłaszcza o świeżo opublikowanym referacie Ministra Minca o polityce PPR na wsi. Oto jego, wprawdzie nie dosłowna, ale rzeczowo chyba wiernie odtworzona wypowiedź:

— No cóż. W tej chwili na wsi nie jest jeszcze tak źle. Ludzie się pomału wygryzają z wojennych zniszczeń (kilka zagrod spalili wycofujący się Niemcy, poza tym okupacja niemiecka spowodowała spadek pogłowia zwierzęcego, wymagający kilku lat do nadrobienia). Coraz sprawniej zaczyna wszystko funkcjonować. bardzo pożyteczne zmiany zachodzą, zwłaszcza w szkolnictwie. Można by wytrzymać, gdyby nie ta „walka klasowa”. To jest całe cholerstwo. Na początku to nas wszystkich rzucali na obszarników, żeby ich rozparcelować. Skończyli się obszarnicy, to huza na tych najbogatszych we wsi, bo to kulały i kapitaliści. Zniszczą i tych, to wtedy rzuca tych największych dziadów na tych, co choć trochę mają. I tak do skutku, aż nas wszystkich puszcza z torbami. Nie pozwolą ludziom po wojnie odetchnąć i spokojnie pracować, żeby pracą dojść do czegoś, tylko ich drażnią ta „walka klasowa”. Czy ten, co żyje mniej więcej jak człowiek, bo nie próżnował, lecz przez całe życie harował, ma oddać swój dobytek temu, co się leni, co przepił swój majątek, albo nie umie gospodarować? Mówi się o wyzysku. Co za wyzysk? Ja na przykład mam parobka. Ale czy ja go wyzyskuje? Przecież on sam do mnie przyszedł, bo inaczej by nie miał co jeść. Daje mu za jego pracę tyle, ileśmy się zgodzili. Za to, co u mnie zapracował, ubrał się, i jest zadowolony. I co za wyzysk, co za walka klasowa? W zgodzie to cała wieś szybko dźwignęłaby się, jeden drugiemu by pomógł i jakoś szłoby się naprzód. A tak to wiecznie jeno mamy się zreć między sobą. Nienawiścią niczego się nie zbuduje!

Właśnie przechodzimy do systematycznej i szczegółowej odpowiedzi na pytanie: „co za wyzysk i co za walka klasowa” narażając przy tym na szwank chrześcijańskie cnoty czcigodnego przedmówcy.

(C. d. n.)

\*) Część I — Obraz wsi W. — „Wieś” Nr 43.

1) Stefan Czarnowski — „Podłoże ruchu chłopskiego” w tomie — Społeczeństwo—kultura.

2) Czarnowski op. cit.

3) Witold Kula — Historia gospodarza Polski w dobie popowstaniowej (1864—1918).

Lili Szwengrub

# „OSTROWIANKA”

(Spółdzielnia Parcel.-Osadn. Platyny, pow. Ostróda, woj. olsztyńskie)



fot. J. Chlusk

## NIE MUSIELI A ZROBILI

W powiecie Ostródzkim, 7 km od stacji kolejowej Olsztynek, 2 km od szosy Olsztyn — Ostród (12 km od gminy i 26 od miasta powiatowego) nad jeziorem, w pobliżu lasu, leży poniemiecki majątek Platyny o powierzchni 542 ha.

Podniszczony, jednopiętrowy dwór o 15 pokojach, budynki folwarczne jedno-, dwu i trzyizbowe, z szopami na drzewo, drób i z pomieszczeniem na własną „świninę”, budynki gospodarcze i gorzelnia z kilku mieszkalnymi izbami.

Majątek ten został z początkiem 48 r. wytypowany na Spółdzielnię Parcelacyjno-Osadniczą. Statut tej spółdzielni (z dnia 31.III. 46) mówi o wspólnej gospodarce (na okres najwyżej 5 lat) — „celem ułatwienia swym członkom jak najszybszego utworzenia samodzielnych gospodarstw rolnych z obszaru parcelacyjnego, przeznaczonych przez władzę osiedleńczą do zagospodarowania za pośrednictwem spółdzielni”. (§ 2) „Członkiem spółdzielni parcelacyjno-osadniczej może być każdy kto: a) zyska od władz osiedleńczych akt nadania gospodarstwa rolnego, ogrodniczego lub działki pracowniczej na terenie parcelowanym za pośrednictwem spółdzielni, b) zadeklaruje przystąpienie do niej, poddając się przepisom niniejszego statutu” (§ 7).

W lipcu 1947 r. przyjechało do Platyny siedmiu młodych chłopów spod Ostrowa Mazowieckiego. Szukali gospodarstw dla siebie, swoich krewnych i znajomych. Gospodarstw indywidualnych w okolicy już nie było. A majątki objęte statutem Spółdzielni Parcelacyjno-Osadniczej na ogół nie należały. Nie chcieli ich ani osadnicy, ani przesiedleńcy, ani nawet autochtoni. Nie chcieli, bo nie chcieli mieszkać razem w jednym budynku. Bał się wspólnej gospodarki, nie wierzył sobie ani statutowi. Nie wierzyli, że pracując wspólnie będą pracować uczciwie, że będą mieli dochody. Spotkałam latem 47 roku Spółdzielnię Parc. Osad., które były nimi tylko na papierku. Chłopi nie mogą dostać indywidualnych gospodarstw — brali majątek i od razu go parcelowali, nie korzystając nawet z kredytów inwestycyjnych przysługujących spółdzielniom.

Bohaterzy mojego opowiadania, siedmiu młodych gospodarzy (1—3, 5 ha) z powiatu Ostrow Mazowiecki, nie przestraszyli się jednak wspólnej gospodarki. Obejrżeli majątek i zdecydowali się, że warto go objąć. Ziemi dużo. Pomieszczą mieszkalnych (razem z wotorem) na 30 rodzin. Budynki gospodarcze w dobrym stanie. Obsiane 7 ha ziemi: pszenica, jęczmień, groch, ziemniaki, łubin, mieszanka. Przechowywać można. Było trochę maszyn: motor benzynowy, 2 młockarnie, elewator, kosiarka, siewnik, dołownik, grabiarka, sieczkarnia, śrutownik, kilka bron żelaznych, pługów pojedynczych i dwuskibowych, waga do żyweca, 4 wozy, 3 pary san robotniczych. Wprawdzie wszystko to wymagało remontu — ale byłoby czym zaczynać pracę na wiosnę a nawet na jesieni. Tym bardziej, że Samopomoc Chłopska obiecała im jeszcze przed wiosną konie, krowy i świnię niekiedy mieli, inni postanowili kupić, likwidując całkowicie czy częściowo swoje gospodarstwa w powiecie ostrowskim.

Wrócili do domów. Opowiedzieli sąsiadom o widzieli, i jakie są warunki dostania ziemi w olsztyńskim. Jeszcze sześć rodzin wyraziło chęć wyjazdu do Platyny. Było ich teraz już 13: 7 małorolnych (3—5 ha), 2 średniorolne (13 ha) i 4 bezrolnych (3 robotników rolnych i 1 leśnik i szklarz zarazem).

Około 15 sierpnia 47 r. byli już w Platynie, przywożąc dobytek osobisty (meble, naczynia, ubranie), 2 konie (średniorolni), 7 krow i 2 jałówki (średnio i małorolni) 14 świń i 2 drób (średnio i małorolni).

Na walnym zgromadzeniu (18 sierpnia 47 r.) wybrano zarząd spółdzielni, złożony z prezesa (bezrolny), jego zastępcy (małorolny) i skarbnika (średniorolny i rzeźnik z zawodu). Wybrano Radę Nadzorczą złożoną z trzech członków i ich trzech zastępców i „gospodarza”, którego zadaniem miało być koordynowanie wszystkich prac rolnych w spółdzielni. Co zastanawia — nie dokonano nawet przybliżonego rozplanowania indywidualnych gospodarstw (co właściwie nakazywał § 3, pkt. 1 statutu). Zgromadzenie pozostawiło całą ziemię w zarządzie i użytkowaniu spółdzielni, przyjmując formy produkcji zespołowej, które możemy dzisiaj, według podziału ministra Minca (referat wygłoszony na Plenum KC PPR dn. 3 września 1948 r.) określić jako

formę przejściową między zjednoczeniem wytwórczym a związkiem wytwórczym. Plenum naturalnie nie wybierało świadomie formy spółdzielczości produkcyjnej. Jeśli dzisiaj można na Platynie mówić, jako o zespole będącym na drodze do najwyższej formy spółdzielczości produkcyjnej — to na podstawie nagromadzonych i narosłych faktów, a nie świadomych założeń.

Zespół „Ostrowianka” (taką nazwę przyjęły Platyny) podjął wspólną pracę, bo uznał ją za jedynie słuszną na nowym terenie o dużym obszarze 70% leżącym odłogiem, przy skupionych budynkach mieszkalnych i gospodarczych, braku narzędzi i inwentarza.

Dlaczego uznał pracę zespołową za słuszną, dlaczego ją wybrał, a nie poszukiwał śladem innych osadników indywidualnych gospodarstw? Dlaczego każda z rodzin nie wzięła działki ziemi, nie troszcząc się o całość uprawy majątku?!

Nikt ich do pracy zespołowej nie zmuszał. Statut Spółdz. Parc. Osadn. jest tak luźny, że nie on tu wpłynął na zjednoczenie pracy przybyszów. W sąsiedniej wsi Warglewo — autochtoni, przesiedleńcy i osadnicy siedzą na indywidualnych gospodarstwach. Wszelkie władze daleko. Najbliższe, gminne w odległości 12 km. Zresztą władze nie interesowały się specjalnie wewnętrzną organizacją spółdzielni parc.-osadniczych, nie interesowały się też zespołem „Ostrowianki”.

Jeśli Platyny utrzymały się jako spółdzielnia stało się to dzięki ludziom, którzy ją organizowali. Ludzie ci wyszli daleko poza statut, reformując go według własnych potrzeb, własnych nabywanych i narastających doświadczeń.

Przyjęto zasadę: członkiem spółdzielni jest przedstawiciel poszczególniej rodziny. Każdego członka spółdzielni obowiązuje jednakowa ilość robotniczo-dni pracy w roku. Członek otrzymuje: mieszkanie, opał, ogródek przy mieszkaniu, 0,25 ha ziemi pod własne kartofle i w naturze rocznie 20 m zboża (pszenica, żyto, jęczmień, groch) i 60 m kartofli. Wolno mu trzymać 2 własne krowy, a trochę chlewną owcę, drób — bez specjalnych ograniczeń. Oparto się tutaj na normach deputowych (o ile się nie myli obowiązujących w majątkach państwowych i na rzesztówkach). Jeżeli poza członkiem spółdzielni pracuje ktoś z jego rodziny, wtedy za dzień roboczy płaci się zatrudnionemu 300—400 zł. Wszelkie nadwyżki zdecydowano obracać na potrzeby ogólne spółdzielni, mające na celu podniesienie produkcji: zakup nawozów sztucznych, maszyn i inwentarza żywego. Rozpoczęto prace: remonty domów, jesienny zasiew. We wrześniu 47 r. przyjechała spod Ostrowa jeszcze jedna rodzina jako członek spółdzielni, w październiku pięć rodzin, w lutym 48 r. — jedna, w kwietniu — cztery (małorolne i dwie rzemieślnicze).

Wiosną stanęło do pracy już 25 rodzin. Wyremontowano potrzebne maszyny. W międzyczasie „Ostrowianka” uzyskała od Samopomocy Chłopskiej 16 koni, placąc tylko koszt transportu. Konie pozostały wspólna własnością. Ze sprzedaży nadwyżki zboża i kartofli kubiono 16 uprzęży, 5 pługów pojedynczych, kultywator, kosiarkę. Wiosną obsiano 238 ha (na 431 ha ziemi ornej), część już jesienią, więcej się nie dało — nie było czym).

Żniwa wynadły dobrze. Kupiono żniwiarkę — wiązałkę, kopaczkę. Na skryt dłuższy wzięto 2 traktory, 2 kosiarki, 2 grabiarki. Do młótki przystąpiono o tyle tylko — o ile potrzebne było zboże na deputaty i zakupy, ponieważ spółdzielnia objęła gorzelnia. Używała kredyty od Państwowego Monopoliu Spirytusowego, i zajęta jest remontem gorzelni.

Sprawdzono już gorzelnianego i zastępcę. Resztę pracowników da spółdzielnia. W tej chwili kilka osób pracuje przy remoncie. Gorzelnia ruszy 1 listopada br. Jej zdolność produkcyjna wynosi 100.000 hl. Z powodu zajęcia się gorzelnia spóźniono też kopanie i zasiewy. Za mało ludzi. W czerwcu 48 r. wprawdzie przyjechały jeszcze cztery rodziny ale w sierpniu, wrześniu wyjechało sześć. Dwie na indywidualne gospodarstwa do sąsiedniego powiatu, dwie wróciły z powrotem pod rodzinny Ostrow — dwie (rzemieślnicze) ulokowały się w miastach (Olsztyn i Szczecin). Zostały 23 rodziny. Nie wiele ponad 100 osób. W tym prawie połowa dzieci, do 10, 12 lat. Kilkanaścioro młodzieży. Ludzi starych w Platynie nie ma. Przyjechały tu bowiem młode małżeństwa, siedzące do 47 r. u „ojców”, przyjechali ojcowie, jeszcze

w średnim wieku, którym już dzieci dorosły i pożyli się. Trzeba je było „wypłacić” czy „podzielić”. By tego nie robić albo dzieci, albo rodzice przyjechali do „Ostrowianki”.

Prawo mówi, że osadnik przychodzący na Ziemię Odzyskane winien zdać swoje gospodarstwo na rzecz Funduszu Ziemi. Ale „Ostrowiancy” dotychczasowe swoje gospodarstwa przekazały rodzinom i przyjeżdżając tu wszyscy formalnie byli bezrolnymi. Nie mieli co zdawać. Faktycznie jednak swoje udziały (część tych, co wyszła z gospodarstw) w tamtych gospodarstwach zachowali — zastrzeżili sobie powrót.

I dlatego dwie rodziny wróciły. Dlatego niejedną z Ostrowiaków często jeździ do rodzinnej wsi przypilnować zasiewu, żniw, opłacić podatki — a tu opuszcza dni pracy. Dlatego dwie rodziny poszły jednak na indywidualne gospodarstwo, bo te ostatnie wydawały im się bardziej własne, a przez to i bardziej pożądane. „Ostrowiancy” nie oszukiwali prawa nawet nie starali się specjalnie go pomijać. To nie jest odosobniony wypadek. Mało który osadnik jest pod tym względem w porządku z prawem. Nie dziwmy się Ostrowiakom.

## „ŁACHY”

„Łachami” nazywają na Podlasiu bezrolnych i małorolnych. Powiatu Ostrow M. dotyka podlaski Węgrów i Sokółów. A tam były Koła Wiciowe i pokazowe wsie spółdzielcze. Te tradycje bardziej radykalne docierały do „dzikich” w Ostrowskim powiecie, do „łachów”. „Łachy”, którym syn „kożucha” (kułaka) wymawiał w r. 1937, że nie wykopią dołu na gnojówkę, nie zbiorą kamieni na chodnik na podwórzu, nie przekopią rowów, nie pozbięrają z pola chwastów, w 10 lat później również tych drobno-prywatnych zadań gospodarskich nie podjęli. Ale podjęli grubą robotę, w wymiarze, w jakim marzyli synowie kożuchów, tylko że w celach i treści wprost przeciwna. Nie wyznaczyli parcel — spółdzielni! Prezesem — bezrolny. Przedstawiciel każdej rodziny pracuje bezpłatnie, wynagrodzenie w formie deputatów folwarcznych. Któż mógł być twórcą takiego pomysłu? Bezrolni. Co ich projekt nado oznaczał? Przesunięcie punktu ciężkości na inwestycje w cały, spółdzielczy majątek. To nie bagatelka. Motor benzynowy, 2 młockarnie, elewator, kosiarka, siewnik, dołownik, brony, pługi, 4 wozy — to zastano. W ciągu roku przybyło 16 koni, 16 uprzęży, 5 pługów, kultywator, 3 kosiarki, 2 traktory, 2 grabiarki, kredyty na gorzelnia, remont i uruchomienie. W ciągu roku wśród „łachów” uwyraźniły się różnice. Wydzielła się grupa bezrolnych — sześciu. Z nimi blisko jeszcze 3-ch małorolnych. Reszta małorolnych i sukmany (średnio-rolni) tworzą drugą grupę. Pierwsza grupa organizuje pracę gromady. Planuje rok spółdzielni. Stawia sobie, jako osobiste zadanie podniesienie dochodowości całego majątku. Druga grupa zgodziła się na deputaty, bo jeszcze nie sposób byłoby dać sobie tu radę samemu, a tradycyjną skłonność do „swojego” wyżywa tam, w gospodarstwach rodziny pod Ostrowem M. (zasiewy, żniwa, dokupna itp.). I właśnie ta „połowiczność” postawy, że powiązaniu z rodzinną wsią onieśmiela ją w żądaniu wyznaczenia parcel i oponowaniu przeciw pakowaniu wszystkich nadwyżek (po rozłożeniu deputatów) w inwestycje majątku-spółdzielni.

Toczą się równoległe dwa procesy. Dla rodzin mało i średniorolnych — „spółdzielnia nie ucieknie”. Jak wypracujemy deputaty — to wystarczy. To nasza płaca, a dorobić się można na własnej krowie, utuczonej świni, inwestowaniu pieniędzy zaoszczędzonych z deputatów, mleka, nierogacizny, drobiu w gospodarstwo pozostawione ojcu, synowi, czy też komuś z rodziny, tam pod Ostrowem. Wyjeżdżają dlatego często do Ostrowa na targi, lub pozostają w obejściu. Dziennik pracy członków jest jednym z dowodów tego podziału na dwie grupy. Przy jednym nazwisku — 320 przepracowanych dniówek, przy drugim — 252, przy trzecim — 181 i znów — 280, 200 i tak dalej.

A uchwały mówią o równym wkładzie pracy i równych wynagrodzeniach. Wynagrodzenia są równe ale wkład pracy — nie.

Na niejednym zebraniu zastanawiano się nad tą sprawą. Jedno z plenum wysunęło projekt potrącania za każdy opuszczony dzień pracy 500 zł. Nie wszyscy się zgodzili. I sprawa pozostała niezakończona. A grupa byłych bezrolnych występowała ze słuszną koncepcją: ustalenia podziału zysków według pracy. Ale „Ostrowianka” nie stanęła jeszcze przed problemem podziału nadwyżek, bo do tej po-

ry wszystko szło w inwestycje, a ustalając stałe „deputaty”, wychodzono z założenia, że wszyscy członkowie będą bezwzględnie przestrzegali jednakowego wkładu pracy.

Założenie okazało się mylne. Ciekawi mnie, jak „ostrowiancy” wybrną z tej trudności? Wydaje się tu konieczne zastosowanie jakiegoś obowiązującego minimum dni pracy i premiowania we wszystkim, co to minimum przekracza.

Tymi, którzy wypracowali bezpłatnie największą ilość dniówek są oczywiście bezrolni. Sześć rodzin byłych bezrolnych, związanym od lat mniej lub bardziej z ruchami socjalistycznymi — dzisiaj członków PPR docenia gospodarke zespołową jako wyżej postawioną i jedynie słuszną przy dzisiejszych zdobyczach technicznych. Te sześć rodzin pracuje z oddaniem, nie licząc dni — ponad normę. Cieszy się każdą nową maszyną w spółdzielni, każdym nowym koniem. Marzy o pełnej szkole we wsi (teraz jest tylko czteroklasowa), o założeniu sklepów spółdzielczych, świetlicy, o mocnym kole partyjnym. Nie myśli o dorobku własnym — o własnej krowie i lepszym ubraniu w tej chwili. Najpierw — dobrze postawiona spółdzielnia. Nowe budynki, nowe mieszkania — „jak spółdzielnia będzie bogata i my będziemy lepiej żyli”. Wprawdzie doraźnie są pokrzywdzeni. Wprawdzie produkcja całej spółdzielni na ich barkach przede wszystkim spoczywa, ale w ich uporze, cierpliwości i wysiłku nie ma utopijnego idealizmu.

Dla małorolnych i średniorolnych spółdzielnia kończy się na deputacie. Konkuruje oni niejako ze spółdzielnią w robocie poza deputatem, w robocie doraźnej i bezpośrednio dla siebie, ale w ten sposób nie doceniają narastania porządku gospodarczego, który rozwija się po linii właśnie deputatów. Po tej linii działając, bezrolni powiększali na tyle uzbrojenie folwarku (park maszynowy), że orka jesienna i wiosenna obejmuje już teraz całą powierzchnię uprawną. Ostatnia ich wygrana — przełomowa dla zespołu „Ostrowianki” — jest uruchomienie gorzelni. Dla drugiej grupy wkrótce stanie się jasne, że jednak dochód osobisty (rodziny) dawać będzie im głównie majątek, jako całość produkcyjną. Dotychczasowe zaś ich domowe gospodarstwo spadnie do pozycji dodatku. Jeszcze trochę, a zespół maszyn (własność społeczna!), każde każdemu rachować na wynik pracy tego parku maszynowego. Jeszcze trochę, a gorzelnia da taki autorytet i sankcje materialne grupie bezrolnych społeczników, że wkład pracy „minimum” zostanie uregulowany pomyślnie.

Pomyślnie też zakończy się drażliwa sprawa krow.

Byli gospodarze średnio i małorolni przywieźli własne krowy. Krow jest 17. Pozostały własnością indywidualną, a żywią się paszą spółdzielni. Byli bezrolni krow nie mają. Jednakże ekwiwalent za paszę dla bydła nie otrzymują. A ekwiwalent za paszę i premiowanie pozwoliłby im wkrótce na kupienie krow. Bo to, że w najbliższym czasie spółdzielnia dostanie kilkadziesiąt krow z Samopomocy Chłopskiej — sprawy krow indywidualnych by nie rozwiązało i zadrażniać nie usunęło.

Usunie je gorzelnia, puszczone w ruch. Stanowi ona ten stopień uprzemysłowienia i technizacji w rolnictwie, nad jakim grupa małorolnych i średniorolników nie może przejść do porządku dziennego. Na „linii deputatów” gorzelnia zajmuje pozycję nie do zlekceważenia. Praca, dochód, surowiec, przetwory — to doraźnie, a zaprowadzenie światła do domów, zorganizowanie spółdzielni zaopatrzenia i zbytu, powiększenia zespołu członków i co się z tym bezpośrednio wiąże — rozbudowy budynków mieszkalnych, to wszystko szybko postawi grupę przed spółdzielnią jako jej wielkim, społecznym gospodarstwem. Tyle przybyło nowych kont, dla dochodów każdej rodziny, że teraz pasza majątku i własne krowy posiadających je muszą poddać się wyrównanemu obrachowaniu.

Wiosną i latem odbywały się wędrowki. Wyemigrowało kilka rodzin (rzemieślników i średniorolnych), przybyło kilka innych. Emigracja objęła niezadowolonych i nie pasujących. Gorzelnia potrzebuje i znajdzie nowych ludzi. Gorzelnia — to nowy warunek do uspołecznienia, postawiony przed Ostrowiakami. Kto go nie przyjmie — wyemigruje, ale nie zlamie „linii deputatów”, nie zniszczy dzieła pionierów bezrolnych. Gorzelnia będzie miała samochód ciężarowy — symbol lokomocji nowej wsi. Szybkiej, masowej i społecznej!



fot. J. Chlusk

Piotr Chmura

# POD OSTROWEM MAZOWIECKIM

Artykuł ten wiąże się bezpośrednio z artykułem poprzednim „Ostrowianka”.

Redakcja

Dlaczego „ostrowiacy” wyjechali na majątek, podlegający Statutowi Spółdzielni Parcel Osadniczych? Dlaczego nawet respektując Statut nie wydzielił sobie parcel?

Czyżby skłonność do takiej decyzji była już w nich jakoś wcześniej przygotowana? Skądże przybyli? Jaką mogli mieć przeszłość? Są to chłopcy spod Ostrowa Mazowieckiego, chłopcy z pobraża białostockiego, które przylega do Podlasia (Iubelskie) i woj. warszawskiego. Sławne to były przed wojną okolice. Tam dochodziło do pogromów Żydów nie lżejszych, niż w głośnym, radomskim Przytyku. Tam, Boże mój, wrzało jak w kotłach. Od północy i wschodu nasuwały się dwa wpływy: kleru i szlachty zagrodowej. Łomżyńska diecezja uchodziła przecież za najbardziej katolicką w Polsce. Od powiatu grodzieńskiego, który był matczynym szlachty zagrodowej, długie języki gęstych skupień tych buffonów sięgały do pow. Wysokie Mazowieckie i Ostrow Mazowiecki. Organizacje katolickie nimi były wypełnione. Zagrodowym dawało to poczucie siły i przeświadczenie, że tworzą elitę. W tych okolicach chłopcy do katolickich organizacji nie należeli. Dopiero na pobrażach. Kler święcił tu tryumfy dyplomacji jezuickiej. Pan Bóg w jednym miejscu miał być dla szlachty i chłopów, uprzywilejowując szlachtę, w drugim dla O.N.R. i dla chłopów, znów uprzywilejowując klasę i partię, które na chłopskiej nędzy i parafialnym oglupianiu wybudować chciały faszyzm. Po starciu wrzało tam, jak w kotłach. Bo nawet członkowie organizacji kościelnych i Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży, tylko w sprawach wiary zachowywali solidarność z plebanią, w ocenie sytuacji polityczno-społecznej pogłębiał się w krytyce kleru, szlachty i narodowców. „Obóz narodowy rzucaniem radykalnych frazesów nie zmieni faktu, że stanowi resztkę szlachetczyzny i wściznictwa... Jednym z ich hasła „Odrodźcie życie w Chrystusie”, kłopotliwie to jednak musi być odrodzenie skoro powracałoby się do zepchnięcia chłopów na szary koniec, by go znów tumanić, by po chłopskich karkach pięć się wyżej, a skoro już się wejście na najwyższy szczebel, do chłopów tyłem się odwrócić i powiedzieć: pocałuj mnie teraz chłami”. Kto tak pisał w r. 1937? Syn 24-morgowego gospodarza, członek KSM z pow. Ostrow Mazowiecki.

A inny z pow. Wysokie Mazowieckie: „Trzeba było wsi podsunąć coś, co całkowicie by pochłonięło jej uwagę, co podobałoby się. Szukał takiego kozła ofiarnego. Stronictwo Narodowe bankrutowało. Ale w karabinie S.N. siedział ostatni nabób — Żyd. Wyrzucano i pocisk trafił celu. Ryba chwyciła przynętę — wieś widziała Żydów postrojonych, spacerujących, rozpiewanych, rozgadanych w sobotę — zazdrościła Żydom bogactw, a pracy ich nie widziała. Kłonica i widły poszły w ruch”.

To są okolice, gdzie Żydzi mieszkali licząc na wsiach, gdzie ich rody wiejskie należały do najstarszych. Były pierwszymi współorganizatorami osad chłopskich po zniesieniu pańszczyzny. Przechodziły wspólne losy z chłopami: rozdrabnianie gospodarstw, wyjazdy do Ameryki, powroty części wzbogaconych, części — nie. Nieliczni znaleźli się w pozycji kułaków, kapitalistów wiejskich, większość, jak większość chłopów, spadła do poziomu małorolnych i bezrolnych. W tych okolicach patronatu kleru i szlachty zagrodowej, ostoi obskurantyzmu, historia każdej wsi od lat 70-tych ubiegłego stulecia do końcowych lat międzywojennych wygląda przeciętnie tak: po pańszczyźnie 30—50 gospodarstw po 15—20 morgów ziemi, trochę mała i bezrolna. Po 1930 roku — zagród 200, ludności ponad 1000, 80% posiada 1—5 morgów, najczęściej gospodarstwo bez konia, rodziny liczne, 85% gospodarstw karłowatych obciążone „zbędnymi”, duży odsetek bezrolnych. Chaty drewniane, kryte słomą, zle odzyskanie, łyce odzienie, mało kto szedł do wyższych szkół. Duży procent analfabotów.

W jednym z życiorysów „Młodego Pokolenia Chłopów” czytamy o takim pogromie Żydów w pow. Ostrow M. we wsi leżącej przy trakcie Warszawa—Białystok, w pobliżu Wyszkowa. Od r. 1936 z Warszawy działają agitatorzy. Wylepiają hasła: „Przez z Żyda-

mi”, „Bij Żyda”, zaagitowani chłopcy powtarzają je w języku lokalnym: „wynośta się póki czas”. W czerwcu 1937 r., przed Zielonymi Świętami pewnego dnia „około godz. 8 rano na szosie ukazało się 100 ludzi młodych, wszyscy w granatowych beretach z pałami, gdy tylko połączyli się z tutejszymi narodowcami... rzucili się na Żydów, mieszkania zdemolowali z zewnątrz i wewnątrz, zniszczyli towar doszczętnie... zdemolowali też i buźnicę — w przeciągu godziny na miejscu z zabudowań zostały gruzy... Żydzi tego dnia uciekli się do Wyszkowa, bo nie mieli już do czego wracać”.

Młody pamiętnikarz pisze w r. 1937: „nie działał tu samorodny nurt płynący przeciw Judei, ale zwrócić nadmiaru energii młodych w chwili krytycznego załamania się, skutkiem plagi bezrobocia. Jest to polityka odłamu, który w odpowiedniej chwili dynamikę młodych skierował na krótką, bezcelową metę, by wyładować się, nie czyniąc zbyt wielkiego wycisku w równowadze społecznej”. Przedwojenną sytuację w pow. Ostrow Mazowiecki ilustrują w „Młodym Pokoleniu Chłopów” w większości wypowiedzi młodzieży średniackiej i wielkomorgowej (jak na tamte stosunki, gdzie nawet szlachta zagrodowa w 65% miała po 15—20 morgów, w 20% po 5—15 morgów, 15% — 50—60 morgów). Do ogłoszonych tekstów ankiety dostała się elita z organizacji panujących w tamtejszym terenie (KSM i ZS), a jest to województwo, które dostarczało najwięcej życiorysów młodzieży niechrześcijańskiej, tzw. „dzikiej”. Dzikiej z warunków, gdzie w ciągu roku odbywały się 30 tys. spowiedzi. To znaczy w spowiedzi był każdy 6 razy. „Osiem razy ksiądz może w duszę jego wglądać i urabiać i przekonać. Dlatego wiara tu jest silna, moralność wysoka”... jak to pokazały pogromy, ustawiczne malwersacje w spółdzielniach, nędza mas chłopskich, wywyższanie szlachty zagrodowej, popieranie narodowców. Dzikiej — powtarzam — z warunków, gdzie panujące w okolicy domy parafialne radia nie instalowały, bo członkowie „nic by nie robili tylko słuchali. Życie organizacyjne zamarałoby lub wkroczyło na inne niewłaściwe tory”, gdzie słabo rozwijały się Koła Gospodyń Wiejskich. „Boja się księża aby niewiasty nie były zorganizowane, boją się żeby przyrost naturalny nie zmniejszył się przez propagowanie świadomego macierzyństwa... na wsiach, gdzie małorolnych (1—3 mrg) było 80%, a 85% gospodarstw karłowatych „zbędni” wielokrotni, a rodziny przeciętne 10 osobowe. Gdzie o zakładaniu innych kół, niż KSM mowy nie ma, bo „czy to Siew czy Wici itp. — tak są podłone przez księży na ambonach, że ludzie na wspomnienie samo o nich, zęgnają się krzyżem świętym”. W 1945—6 z tych samych ambon głośno pochwałali Wici, właśnie za ich przedwojenną tradycję.

Tyle się dowiadujemy o warunkach tej „dzikiej” młodzieży, klasowo reprezentującej biedotę wiejską. Dowiadujemy się z wypowiedzi średnio i wielkorolnych. Ale i ta młodzież, mimo że była w KSM-ach, a nawet wówczas kiedy i w S. N., znajdowała się w zasadniczej sprzeczności z polityką i kleru i narodowców.

Dla młodzieży oby tych grup (średnio- i wielkorolnej) najważniejszą była sprawa gospodarza. Średniorolny (w pojęciu miejscowym) ma świadomość zachwianej pozycji, postępującego zagrożenia ruiny majątkowej: „Bo weźmy przykład. Gospodarstwo 12 mrg. ziemi, z zabudowań chałupa i chlew: inwentarz żywy: koń, krowa i prosię oraz kilka kur. Na tym gospodarstwie jest 5 tysięcy długu i niezapłacone podatki za kilka lat. Do wyżywienia jest 5 osób... Kogo ów syn średniaka wyraża w r. 1937? „Zagrożonych upadkiem gospodarstw, trzeba im pomóc”. I dlatego myśli o spółdzielczości, niezrażony wieloma w okolicy bankructwami spółdzielni, broni ich idei, w KSM wpakowuje P. R., choć proboszczowie patrzą na spółdzielnię i kółka rolnicze krzywo. Szerzą one bowiem postęp wiedzy świeckiej, emancypują świeckie organizacje zastrzegają świadomość istniejących różnic klasowych i walki klasowej.

Syn „bogatego” gospodarza (24 mrg.) ocenia ciemnie Str. Narodowe, bo „poznałem, że to nie dla chłopów, dążą do rozbicia społeczeństwa: Kółek Rolniczych, Spółdzielni itd...” „Istotą tych napaści jest dążenie do zniszczenia samostojnego ruchu społecznego na wsi, doprowadzenie ludności wiejskiej do zupełnego rozbitcia i bezradności pod wzglę-



fot. J. Chlusi

dem organizacyjnym”. „Ze po szkole zapisałem się do KSM to dlatego, że innej organizacji nie było, a jednak pracować chciałem”. Do KSM, „które przecież jest ramieniem Stronictwa Narodowego”, jak sam je określił. Któż zatem piekł kasztany i w organizacjach kościelnych i w SN? Oczywiście, bogaci chłopcy. Po opisanym pogromie Żydów ich ziemię, place i licencje na sklepy kupili sami narodowcy po cenie — zrozumiałe — bardzo niskiej. „Obecnie katolickich sklepów jest pięć — przy czym zapanowała silna konkurencja”. Ta część bogatego chłopstwa to odłam spekulantów wiejskich. bliższy ideałom drobnomieszczanstwa: drobnego przedsiębiorstwa i sklepu. W nich faszyzm znalazł naturalnego sojusznika. Odłam kułacko-gospodarski pozostawał na pozycjach liberalno-agrarystycznych. Zajmuje ją i nasz syn 24-morgowca. Odbył szkołę rolniczą.

„Prócz znajomości fachu rolniczego i zamysłowania rolnik — ma według niego — odznaczać się przedsiębiorczością i rzutkością przemysłowca a rachunek i kalkulację wziąć od handlowca”. Są to sformułowania rzecz można zachodnio-europejskiej elity kułackiej. I taka jest dla niego wzorem. „W krajach, gdzie rolnictwo jest dobrze zorganizowane, rolnicy poznali wymagania rynków zagranicznych i przez to opanowali te rynki”. U nas „organizować się” jest hasłem, które obija się „jakimś dziwnie nie swojskim echem”. On chciałby sytuacji Czech, gdzie wszyscy chłopcy znaleźli się w swojej organizacji. Tam, „pomimo, że rolnictwo stanowi 30 proc. ogółu, rolnicy dają sobie radę, mając silną organizację gospodarczą, do której należą rolnicy o różnych poglądach politycznych, różnej narodowości i religii itd.”

Marzenia tego syna kułackiego odsłaniają piętro klasowe, na jakim rozwijał się agraryzm. Bo co ta perspektywa zakłada? po 1) spełnioną historię kapitalizmu rozwiniętego, jaki osiągnęły Czechy, Szwajcaria, Dania. Kapitalizmu, w którym nie ma miliona dzieci poza szkołą, dlatego nasz młody piętnuje ten stan w Polsce. Kapitalizmu, w którym najbardziej zadowolony chłop porzucił już „stosowanie czarnych ugorów, tego dziadkowego zabobonu gospodarskiego”. Kapitalizmu, w którym nie trzeba już nawoływać: „Dlaczego nie wykopie dołu na gnojówkę, której co rok się tyle marnuje? Dlaczego nie zbiera kamieni z pola i nie robi sobie z nich choćby wąskiego chodnika na podwórzu, po którym wiosną i jesienią, trzeba się topić? Dlaczego nie zbiera chwastów z pola i nie kładzie na kupę kompostową? Dlaczego nie przekopie rowów i przegonów na polu, tylko później powiada, że wymokło? Dlaczego wieś własnym wysiłkiem nie poprawi gościńca, tylko łamie wozy i czeka, aż wójt nakaze? Dlaczego chłop nie weźmie ołowka i nie policzy, ile ma słomy i innej paszy i czy ona wystarczy na przechowanie przez zimę gromady „ogonów”. Zamiast narzekać i oczekiwać cudów, wziąć się do pracy, bo dużo więcej zrobi się przez tydzień, niż narzekaniem przez rok”.

Gdyby warunki takiego kapitalizmu zostały spełnione musiałby na ich podstawie budować się nowe jego formy. Właśnie organizacje gospodarze, wiązane i centralizowane, jak w Czechach, o których z zachwytem pisał w 1937 r. syn kułaka mazowieckiego. Wszystko się tam wypełniło według jego recepty: rzutkość i przedsiębiorczość przemysłowca, kalkulacja handlowca, od plodów rolniczych do własnego przemysłu, do własnych banków do własnych udziałów w innych gałęziach produkcji, do udziału w bankowej polityce kapitalizmu imperialnego w tychże ojczystych Czechach. A Volavka w „Stu latach rolniczej polityki” (1943 — Praga) ujawnia jak to organizacje spółdzielcze wsi czeskich były w r. 1925 tylko 44 proc., reszta poszła na inwestycje kartelów i monopolii. Agrarny konserw obywateli (w latach międzywojennych) 20 towarzystw przemysłu cukrowniczego 2 konalnie, 4 hurtownie handlu węglem 7 tow. akc. przemysłu stalowego i kilka towarzystw przemysłu tekstylnego.

Wspólnie z Bankiem Spółdzielni Spożywców uczestniczył Bank Rolny w przemyśle gorzelnianym i zakładach zbrojeniowych Skody. Morawski B. R. owdładnął 6 wielkich fabryk ciężkiego przemysłu, cały szereg cukrowni, browarów, papierni itd. Agrarny kapitał maczał palce również przed rokiem 1938 w akcjach przemysłu zbrojeniowego i elektrycznego w Niemczech. Finansjera agrarna była reprezentowana w rządzie kapitalistycznych Czech. Poseł R. Słansky powiedział w parlamencie w r. 1937: „W Str. Agrarnym siedzą dzisiaj poza jednym czy dwu sami baroni cukru, bankierzy, baroni gorzelnictwa, uzbójstwa i ziemianie”.

Akcje 9 największych fabryk ciężkiego przemysłu wzrosły między r. 1932 a 36 z 437 mil. kor. na 2183 mil. kor., tzn. o 330 proc. Czymże kosztowały rosnące dochody wielkiego kapitału? Gdy chłop w 1932 r. za 100 kg. wołowy kupił 8246 kg żelaza (I g.), w 36 r. — już tylko 600 kg (złomowego). A równocześnie 73 proc. wszystkich karteli podlegało Bankowi Spółdzielni Spożywców i Morawskiemu Bankowi Rolnemu. 20 posłów i senatorów Stronictwa Agrarnego bronilo w parlamencie spraw dla 60 Towarzystw akcyjnych. Ten obraz wyższej i powszechnej organizacji gospodarzy chłopów czeskich i Stronictwa Agrarnego nie był znany w roku 1937 naszemu synowi kułaka mazowieckiego. I może by go przeraził odosłony cynizm perspektywy, jaką sam kreślił jako wyraz klasowych dążeń. A kreślił ją klasycznie. Jego europejska nowoczesność kazała mu odrzucić Zolzikiewiczów, jakich pokazał wczesny pozytywizm na najniższych szczeblach administracji i samorządu na wsi, kazała w przeszłość odłożyć hasło „sami siebie”. Spełniono je bowiem w czasach zaraniarskich w wąskich granicach części gromady i w niewielu wsiach. On chciałby zorganizowanej całej wsi i wszystkich wsi. Dla przemysłowców z rzutkością i handlowców z kalkulacją taka sytuacja dopiero była na ich miarę. „To nie będą ci, którzy robią wszystko w myśl wskazań sekretarzy. (gminy), lecz zaczynający tworzyć naprzód małe rzeczy, potem coraz większe. To będą ci, którzy nie będą pracować dla wsi, lecz z całą gromadą — wspólnie. Jako wzorowo gospodarze będą na pewno starali się pomagać innym w ulepszeniu warsztatu”. Kiedy raz jeszcze uprzytomnić sobie, że pisał to wszystko syn 24-morgowca w powiecie, gdzie było 80 proc. 1—3 morgowych gospodarzy, stanie się jasne dlaczego marzył on o tym etapie kapitalizmu wiejskiego, w jakim jest agrarna powszechna organizacja o spółdzielczych formach i zadaniach, agrarne przemysły i banki, agrarna polityka zagraniczna. I dlatego po rodowód dla takiego marzenia sięgał do Kółka Rolniczego — K. R. „to jakby sejm lub senat gromadzki, w którym elita gospodarzy miejscowych zastanawia się i obmyśla środki podniesienia swojej wsi i najbliższej okolicy”. Czechosłowacja przeżyła takie senaty gromadzkie, takie elity gospodarzy miejscowych. Zastanawiali się oni nad swoją wsią i okolicą, w wyniku, czego na organizacjach gospodarzy wsi i okolicy, jak na instrumentach bogatej orkiestry wygrywali sprawnie kolejne etapy własnego, kapitalistycznego awansu. Więźczyły je u góry Krajowe Banki, Koncerny, Tow. akcyjne, Kartele i monopole — prywatnych udziałowców.

Pomiędzy wyobrażeniami syna średniaka a kułaka jest wyraźna różnica. Pierwszy chciał spółdzielczości i organizacji dla ratowania „zagrożonych upadkiem gospodarstw”, w tym położeniu są już średniacy. Drugi w spółdzielczości i wsi zorganizowanej widział pole do popisu i ekspansji dla klasy kułaków. — Okres faktycznego monopolu dla „elity gospodarzy miejscowych”.

Tak to, a sprzecznie myśleli obaj przed wojną. W r. 1947 spod Ostrowa Mazowieckiego nie wyjechał żaden syn kułacki na majątek Platyny. Pojechali bezrolni, małorolni i (najmniej) — średniorolni. Nie poznaliśmy z dokumentów „Młodego Pokolenia Chłopów” dwóch pierwszych grup w powiecie Ostrow Mazowiecki. Nie ma ich dokumentów, poznaliśmy natomiast warunki, w jakich żyli i siły społeczne, jakie na nich parły.

Ale poznajemy ich dziś jako pionierów na spółdzielczym majątku w Olsztynskim.



fot. J. Chlusi

Witold Łukaszewicz

# Jaką młodzież przyjmujemy na uniwersytet?

## ROZWAŻANIA POEGZAMINACYJNE

**K**omisje dla doboru kandydatów na pierwszy rok studiów do państwowych szkół wyższych, powołane przez Ministerstwo Oświaty spośród przedstawicieli Zarządów Wojewódzkich Samopomocy Chłopskiej, Okręgowej Komisji Związków Zawodowych, delegatów Ministra Oświaty i odnoszących wydziałów uczelni, mają już poza sobą dwuletnie doświadczenia i niewątpliwie dużo ciekawych spostrzeżeń, które zdobyły w toku prac klasyfikacyjnych i egzaminów w zakresie przedmiotów kierunkowych oraz nauki o Polsce i świecie współczesnym. Niestety, dotychczasowe osiągnięcia wymienionych Komisji są mało znane społeczeństwu, a w szczególności robotnikom, chłopom i inteligencji pracującej. A przecież te trzy podstawowe grupy społeczne Polski Ludowej są bezpośrednio zainteresowane działalnością i wynikami prac Komisji. Nieprzygotowanie materiału sprawozdawczego przez członków Komisji dla doboru kandydatów uniemożliwia podanie publicznemu osądowi dotychczasowych osiągnięć w zakresie demokratyzacji szkół wyższych na odcinku młodzieżowym; wymyka się więc wskutek zaniedbania całokształt tej niewątpliwie pozytywnej i żmudnej ro-

boty. Komisje milczą, materiał spostrzeżeń w idzie w zapomnienie zamiast służyć za podstawę dla owocnej samokrytyki, prowadzącej do doskonalenia metod pracy zespołów klasyfikujących i zasad doboru. Nie widać również należyte procesu demokratyzacji wyższych uczelni.

W związku z tym pragnę wyrazić postulat pod adresem Komisji dla doboru kandydatów, aby zechciały przepracować zebrany materiał statystyczno-obszerny i podzielić się swoimi wnioskami ze społeczeństwem. Jako członek II Komisji dla doboru kandydatów na I rok studiów Wydziału matematyczno-przyrodniczego Uniwersytetu Łódzkiego podaję garść szczegółów informacyjnych, zacierpniętych z akt, a odnoszących się do młodzieży, która ubiegała się we wrześniu br. o przyjęcie na biologię, geografię, fizykę i matematykę. O przyjęcie na cztery wymienione kierunki studiów ubiegało się 140 kandydatów. Ich płeć, pochodzenie społeczne, przynależność polityczną, oceny z Nauki o Polsce i świecie współczesnym, dalej zróżnicowanie społeczne, ilościowe i procentowe tych, którzy nie zostali przyjęci, wreszcie pochodzenie społeczne i przynależność polityczną, oraz oceny przyjętych, zilustrują następujące tabele.

## I PRZYSTĘPUJĄCY DO EGZAMINÓW

### a) Płeć

	Ogółem	%
Mężczyźni	62	44,2%
Kobiety	78	55,8%
Razem	140	100%

### b) Płeć według kierunku studiów

Kierunek	Płeć	Ogółem		Razem	
		Ilość	%	Ilość	%
Biologia	Mężczyźni	10	7,1%	73	52,1%
	Kobiety	63	45,0%		
Geografia	Mężczyźni	15	10,7%	18	12,8%
	Kobiety	3	2,1%		
Fizyka	Mężczyźni	8	5,7%	12	8,6%
	Kobiety	4	2,9%		
Matematyka	Mężczyźni	29	20,8%	37	26,5%
	Kobiety	8	5,7%		
Razem	Mężczyźni	62		140	100%
	Kobiety	78			

**Wnioski.** Z tabel tych wynika, że feminizacja która objęła wydziały: humanistyczny, lekarski, stomatologiczny i farmaceutyczny Uniwersytetu Łódzkiego kroczy zwycięsko także i na matematyczno-przyrodniczym. Kobiety stanowią ogółem 55,8% kandydatów na biologię, geografię, fizykę i matematykę łącznie. Istny „zawal pici pięknej” przeżywa biologia — bo aż 63 kobiet na 10 mężczyzn;

najbardziej „męskie” kierunki — to geografia i matematyka. Ciekawy jest również rozrzut zainteresowań kandydatów, jeśli chodzi o kierunek studiów. Największą popularnością cieszy się biologia, na którą zapisało się aż 73 osoby czyli 52,1%; dalej matematyka — 37 kandydatów czyli 26,5%; najniższą fizyka, bo zaledwie 12 kandydatów czyli 8,6%.

### c) Pochodzenie społeczne kandydatów

Kategoria	Ilość		Biologia		Geografia		Fizyka		Matemat.	
	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%
Dzieci robotników	25	17,8	17	12,2	2	1,4	1	0,7	5	3,5
Rolnicy samodzielni	1	0,7	1	0,7						
Dzieci rolników	17	12,2	3	2,2	4	2,9	2	1,4	8	5,7
Inteligenci pracujący samodzielnie	22	15,7	12	8,7	2	1,4	2	1,4	6	4,2
Dzieci inteligencji pracującej	31	22,1	20	14,3	1	0,7	5	3,6	5	3,5
Nauczyciele czynni	15	10,7	5	3,5	5	3,6			5	3,6
Dzieci nauczycieli	11	7,9	8	5,7	1	0,7			2	1,5
Rzemieślnicy samodzielni	3	2,1					1	0,7	2	1,4
Dzieci rzemieślników	11	7,9	6	4,2	1	0,7	1	0,7	3	2,3
Dzieci kupców i przemysłowców	4	2,9	2	1,5	1	0,7			1	0,7
Razem	140	100	73	25,1	18	12,8	12	8,6	37	26,5

**Wnioski.** Skład społeczny młodzieży, która zapisała się na I rok biologii, geografii, fizyki i matematyki, był dobry. Na 140 kandydatów było ze środowiska uprzywilejowanego w rozporządzeniu Ministra Oświaty z dnia 19 maja 1948 r. § 7A (dzieci robotników, chłopów, inteligencji pracującej, którym był utrudniony dostęp do kultury) i z § 7B (nauczyciele i inni) łącznie 122 czyli 87,1%; dzieci rzemieślników i samodzielnych rzemieślników 10%; mało pożądana „inicjatywa prywatna” (kupiecko-przemysłowa) stanowiła 2,9%. Najliczniejsza w grupie uprzywilejowanej — to młodzież ze środowiska inteligencji pracującej. Osiągnęła ona cyfrę 79 czyli 56,4% ogółu kandydatów na wspomniane cztery kierunki studiów wydziału matematyczno-przyrodniczego; w tym nauczycieli czynnych 15 czyli 10,7%, dzieci nauczycielskich 11 czyli 7,9%; łącznie środowisko nauczycielskie dostarczyło 26 kandydatów czyli 18,6%.

Kolejną najliczniejszą grupą to młodzież ze środowiska robotniczego stanowiąca 17,8%; na trzecim miejscu uplasowali się kandy-

daci pochodzenia chłopskiego — 12,9%; na czwartym — kandydaci ze środowiska rzemieślniczego — 10%, na końcu „inicjatywa prywatna”. Młodzież pochodzenia robotniczo-chłopskiego skupiła gros swych zainteresowań na biologii i matematyce (33 na 43 zapisanych), najniższym powodzeniem cieszyła się u niej fizyka (3 osoby). Wśród kandydatów ze środowiska robotniczo-chłopskiego 1 — to zawodowy rolnik uprawiający samodzielnie swoje kilkomorgowe gospodarstwo. Zapisał się na geografii, niestety nie zgłosił się do egzaminów i odpadł.

Kandydatów pracujących zarobkowo (na własne utrzymanie) było 41 czyli 29,2%, w tym jeden rolnik, trzech rzemieślników (2 ślusarze i 1 czeladnik piekarski), piętnastu nauczycieli i dwudziestu dwu pracowników umysłowych w służbie państwowej, samorządowej itd.

Żaden z kandydatów ze środowiska „inicjatywy prywatnej” (kupiecko-przemysłowej) nie pracował zarobkowo.

### d) Przynależność polityczna kandydatów

Partie zblokowane i ZMP	Ogółem na 140		%	
	Ilość kandydat.	%	Zorgan.	Niezorgan.
Biologia	25	17,9		
Geografia	9	6,4	47	93
Fizyka	2	1,4		
Matematyka	11	7,9		
Razem	47	33,6		

**Wnioski.** Kandydaci zrzeszeni w ZMP i partiach Bloku Demokratycznego, z przewagą widoczną po stronie dawnego ZWM i „Wici” oraz PPR, stanowią łącznie 33,6% ogółu kandydatów. Jest to objaw dodatni, świadczy on bowiem o systematycznej demokratyzacji wyższych uczelni na odcinku młodzieżowym w miarę stabilizowania się stosunków politycznych, społecznych - gospodarczych i kulturalnych w Polsce Ludowej. W

porównaniu z latami poprzednimi widać znaczną poprawę. Młodzież garnąc się do studiów wyższych zdobywa uświadomienie polityczne w demokratycznych partiach politycznych i w nowoorganizowanym Związku Młodzieży Polskiej. Istnieją jednak w tym „dorobianiu się osobowości demokratycznej” poważne przeszkody, których nie uwidoczniła statystyka. Ujawniły się one wyraźnie w wy-

niku rozmów członków Komisji z kandydatami. Przeszkody te polegają na tym mianowicie, że w liceach dość często profesorowie

historii, języka polskiego, a głównie nauki o Polsce, wyraźnie okazują swą niechęć wobec młodzieży zorganizowanej politycznie.

### e) Oceny z nauki o Polsce i świecie współczesnym

Kategoria	Ocen		Ilość punktów	Przeciętna na 1 kandydata
	Ilość b. dobrych	Ocen dobrych		
Kandydaci zorganizowani politycznie	27	8	76	2,81
Kandydaci nie należący do organizacji politycznych	53	5	109	2,05
Razem	80	13	185	2,31

Za podstawę do ułożenia tabeli wzięto dane dla 80 kandydatów przeegzaminowanych przez jednego profesora przy zachowaniu możliwości jednakowych kryteriów wystawiania ocen.

### f) Dane dla 15 nauczycieli, którzy składali egzamin z nauki o Polsce i świecie współczesnym

Ilość skład.	Ocen b. dobrych		Ilość punkt.	Przeciętna na 1 odpowiad.
	Ocen	Ocen		
15	2	2	18	1,20

**Wnioski.** Młodzież zorganizowana politycznie składała egzamin z nauki o Polsce i świecie współczesnym znacznie lepiej niż „dzika”; różnica w przeciętnej wynosiła 0,76 punktów. Wyjątkowo słabo zdawali nauczyciele, ich przeciętna wynosiła zaledwie 1,20 punktów i jest o 1,61 punktów niższa od przeciętnej młodzieży zorganizowanej politycznie. Na cztery odpowiedzi bardzo dobrych i dobrych — przypadających na nauczycieli — trzy pochodziły od nauczycieli należących do PPR (2) i SL (1), czego nie uwidocznił w tabeli. Fakt ten świadczy dobitnie o tym, że przynależność do partii politycznej i ZMP wpływa niezwykle dodatnio na zakres wiadomości z nauki o Polsce i świecie współczesnym. W cyfrach kształtuje się to w ten sposób, że stopień 4 otrzymało 63% spo-

śród egzaminowanej młodzieży zorganizowanej politycznie (17 na 27), natomiast tylko — 49% młodzieży „dzikiej” (26 na 53).

W świetle omawianych danych tabeli f) wynika, że poziom uświadomienia społecznego politycznego 11 nauczycieli był słaby. Zasadnym był wypadek, że długoletnia nauczycielka otrzymała stopień niedostateczny z Nauki o Polsce. Nie znała ona kompletnie istoty przemian ustrojowych, jakie zaszły w Polsce od chwili wyzwolenia; na marginesie należy również mimochodem zauważyć, że nauczycielka ta nie wiedziała, jak się nazywa jej przełożony na szczeblu ministerialnym — Minister Oświaty. Znała ona natomiast doskonale polską hierarchię kościelną od swego dziekana aż do obu kardynałów łącznie.

## II WYNIK EGZAMINÓW I KLASYFIKACJI

### 1. Nieprzyjęci według pochodzenia społecznego

Kategoria	Ogółem na kand.			Biologia		Geografia		Fizyka		Matemat.		
	Ilość	%	Nie przyjęto	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	
Dzieci robotników	25	17,8	1	0,7	1	0,7						
Rolnicy samodzielni	1	0,7	1	0,7								
Dzieci rolników	17	12,2	2	1,4								
Inteligenci pracujący samodzielnie	22	15,7										
Dzieci inteligencji pracującej	31	22,1	4	2,9	2	1,5		1	0,7	1	0,7	
Nauczyciele czynni	15	10,7	2	1,4	1	0,7				1	0,7	
Dzieci nauczycieli	11	7,9	3	2,2	2	1,4				1	0,7	
Rzemieślnicy samodz.	3	2,1										
Dzieci rzemieślników	11	7,9	2	1,4						2	1,4	
Dzieci kupców i przemysłowców	4	2,9										
Razem	140	100	15	10,7	6	4,3	1	0,7	1	0,7	7	4,9

zdało 125 kandydatów czyli 89,3%

**Wnioski.** Przyjęto 125 kandydatów na 140 zapisanych do egzaminu czyli 89,3%. Odpadło ogólnie 15 kandydatów w wyniku egzaminów i wskutek nie zgłoszenia się (w tym 1 samodzielny rolnik); stanowi to 10,7% ogólnej liczby kandydatów, którzy złożyli podania o przyjęcie na biologię, geografii, fizykę i matematykę. Najlepiej składali egzamin inteligenci pracujący zarobkowo, ani jeden z nich nie odpadł, chociaż stanowili 15,7% ogółu kandydatów; nie odpadł również żaden z 3 rzemieślników, stanowiących 2,1% ogółu kandydatów. W 100% zdała także egzamin „inicjatywa prywatna” (4 osoby).

Odpadli natomiast: 1 kandydat ze środowiska robotniczego, 2 z rolniczego, 2 czynnych nauczycieli, 3 ze środowiska nauczycielskiego, 4 ze środowiska inteligencji pracującej (dzieci inteligentów) i 2 kandydatów pochodzenia rzemieślniczego.

Najtrudniejsza dla zdających okazała się matematyka, 7 nieprzyjętych na 37 zgłoszonych; najłatwiejsza była geografia. Prawie co 5 kandydat zdający egzamin z matematyki odpadał z powodu słabego przygotowania, chociaż wymagania egzaminacyjne były na ogół mniej niż przeciętne.

### 2. Nieprzyjęci według zróżnicowania politycznego i płci

Kategoria	Ilość		Biologia		Geografia		Fizyka		Matemat.		Mężcz.		Kobiet	
	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%
Kandydatów zorganizowanych politycznie (Partie Bl. Dem. i Z. M. P.)	1						1				1			
Niezorganizowanych politycznie t. zw. „dzikich”	14	6	1	6	1	6	7	7			7	7		
Razem	15	6	1	6	1	6	7	7			8	7		

**Wnioski.** Na 15 nieprzyjętych był tylko 1 kandydat zorganizowany politycznie oraz 14 „dzikich”. Świadczy to dobrze o poziomie naukowym młodzieży demokratycznej. Kobiety o wiele lepiej były przygotowane do

egzaminów od mężczyzn. Na 78 kobiet odpadło tylko 7, zaś na 62 mężczyzn 8, co w ujęciu procentowym wygląda następująco: kobiet odpadło 9%, mężczyzn 13% (przy założeniu 78 = 100% i 62 = 100%).

### 3. Środowisko społeczne i zróżnicowanie polityczne przyjętych na I rok biologii, geografii, fizyki i matematyki

Kategoria	Ilość		Pracujących		% Zorganizowanych politycznie	
	Ilość	%	Ilość	%	Ilość	%
Robotnicze	24	19,2			9	7,2
Chłopskie	15	12,0			12	9,6
Inteligenci pracującej łącznie z nauczycielstwem	70	56,0	35	28	23	18,4
Rzemieślnicze	12	9,6	3	2,4	2	1,6
Handlowo-przemysłowe	4	3,2				
Razem	125	100	38	30,4	46	36,8

**Wnioski.** Na 125 przyjętych pochodzi ze środowisk: robotniczego, chłopskiego i inteligencji pracującej łącznie z nauczycielstwem (grupa uprzywilejowana) — 109 osób czyli 87,2% wszystkich przyjętych; ze środowiska rzemieślniczego 12 osób czyli 9,6%; z „inicjatywy prywatnej” (handlowo-przemysłowej) 4 osoby, czyli 3,2%. Ta ostatnia zwiększyła w wyniku egzaminów i selekcji swój stan posiadania z 2,9% na 3,2% czyli o 0,3%. Natomiast zmniejszył się stan posiadania młodzieży ze środowiska rzemieślniczego z 10% (przed egzaminem) na 9,6% (po egzaminie)

czyli o 0,4%. Jej kosztem wzmocniła się wzmiankowana wyżej „inicjatywa prywatna” o — 0,3% i grupa uprzywilejowana o — 0,1%.

Zwiększył się procent pracujących zarobkowo wśród przyjętych kandydatów: z 29,2% na 30,4% czyli o 1,2%. Wzrósł również procent młodzieży zorganizowanej politycznie wśród przyjętych: z 33,6% do 36,8% czyli o 3,2%. W tym młodzież z grup uprzywilejowanych stanowi 35,2% ogółu przyjętych kandydatów młodzież rzemieślnicza zaledwie 1,6%; „inicjatywa prywatna” jest „dzika”.

4. Młodzież zorganizowana politycznie w stosunku do swego pochodzenia klasowego (po egzaminach)

ŚRODOWISKO	Na przyjętych	Jest zorgan- nizowanych	politi: Czyli %	% ogólnej liczby zorgan- politycznie przy czym 46=100%
Robotnicze	24	9	37,5	19,6
Chłopskie	15	12	80,0	26,0
Inteligencji pracującej łącznie z nauczyciel- stwem	70	23	33,0	50,0
Rzemieślnicze	12	2	16,6	4,4
Handlowo- Przemysłowe	4			
Razem	125	46	—	100% = 46

Wnioski. Przyjęta na 4 kierunki studiów: biologię, geografę, fizykę i matematykę młodzież ze środowiska chłopskiego jest zorganizowana politycznie w 63%, zajmując pierwsze miejsce przed młodzieżą pochodzenia robotniczego — 37,5%, oraz inteligentką — 33%. Na szarym końcu znalazła się młodzież ze środowiska rzemieślniczego, zrzeszona politycznie zaledwie w 16,6%; na całkowitym uboczu wobec Polski Ludowej usadowiły się latorośle ze środowiska burżuazyjnej „inicjatywy prywatnej”.

Wysoki procent zorganizowanej politycznie młodzieży wiejskiej i robotniczej, która została przyjęta na I rok wspomnianych kierunków studiów na wydziale matematyczno-przyrodniczym, potwierdza słuszność wytycznych Ministerstwa Oświaty przy doborze kandydatów na wyższe uczelnie. Okazuje się

dobitnie, że młodzież robotniczo-chłopska stanowi awangardę postępu społecznego. Przeciwnie co drugi nowopryjęty na biologię, geografę, fizykę i matematykę Uniwersytetu Łódzkiego student(ka) pochodzenia robotniczo-chłopskiego jest członkiem ZMP lub demokratycznych partii politycznych, co trzeci — ze środowiska inteligencji pracującej, natomiast — co szósty zaledwie ze środowiska rzemieślniczego. Połowa zrzeszonej politycznie młodzieży, przyjętej na I rok studiów wymienionych 4 kierunków, rekrutuje się ze środowiska inteligencji pracującej łącznie z nauczycielstwem. Jest rzeczą niezmiernie interesującą zbadać, czy właśnie ta inteligentka grupa będzie nadawała ton i kierunek ogółowi zorganizowanej politycznie młodzieży na I roku studiów omawianego Wydziału.

5. Zestawienie końcowe

Młodzież — Środowisko	Przed egzamin. %	Po egzamin. %
Robotnicze, chłopskie, inteligencji pracującej łącznie z nauczyciel- stwem (uprzywilejowane)	87,1	87,2
Rzemieślnicze łącznie z handlowo- przemysłowym	12,9	12,8
Razem	100	100

Nasuwa się pytanie, czy Komisja II dla doboru kandydatów na biologię, geografę, fi-

zykę i matematykę UE spełniła swoje zadanie? Sądzę, że tak. Przeprowadziła ona ol-

brzymi materiał „papierowy” i ludzki, zgromadziła z akt kandydatów, w wyniku egzaminów i rozmów z młodzieżą, wiele cennych spostrzeżeń i w oparciu o nie dokonała doboru. Wypadł on właściwie: 87,2% przyjętych — to młodzież ze środowisk mających utrudniony dostęp do kultury.

Mógłby kto mało wnikliwy powiedzieć, że praca Komisji sprowadziła się w zasadzie do poprawy stanu procentowego młodzieży pochodzącej ze środowisk uprzywilejowanych w rozporządzeniu Ministra Oświaty zaledwie o — 0,1%, tak bowiem wynika z suchego zestawienia końcowego nr 5. Tego rodzaju pogląd byłby jednakże równoznaczny z niedoocenieniem wysiłku i prac członków Komisji, która skontrolowała skrupulatnie tak od strony naukowej, jak i pochodzenia społecznego liczący 140 osób materiał kandydatki i ułatwiła w pierwszym rzędzie młodzieży ze środowiska robotniczego, chłopskiego i inteligencji pracującej dostęp do wiedzy i awansu społecznego. Trzeba obiektywnie przyznać, iż Komisja miała w znacznym stopniu zadanie ułatwione, a to z tego względu, że wydział matematyczno-przyrodniczy nie zalicza się do „opłacalnych”, stąd i napór elementu kapitalistycznego mającego oparcie w „inicjatywie prywatnej” nie był tak silny na biologię, geografę, fizykę i matematykę, jak na medycynę, stomatologię i farmację.

Na zakończenie jeszcze garść informacji. W artykule niniejszym nie uwzględniono wieku kandydatów i przyjętych, nie podano również ich różnicowania majątkowego. Powodem był brak wyczerpujących danych.

Jako ciekawostka jeśli chodzi o wiek, warto przytoczyć dwa wypadki. Komisja przyjęła I kandydata, który miał zaledwie 14 lat skończonych i piątkowe świadectwo dojrzałości. Złożył on również pomyślnie egzaminy. Drugi kandydat liczył sobie aż 64 lata, był z zawodu nauczycielem, złożył na trójki i został przyjęty na matematykę. W tym samym czasie przed tą samą Komisją składała egzamin jego córka, uzyskując podczas egzaminu oceny dobre. Została ona przyjęta na biologię.

Byłem świadkiem rozczulającej sceny: po egzaminach ojciec i córka uściśliły się mając żywą radość w oczach.

Były i inne mniej budujące szczegóły. Oto one: „Największym organizmem cudzoziemnym będzie organizm człowieka, ponieważ człowiek żyjąc konsumuje zarówno organizmy zwierzęce, jak i roślinne. To jest bardzo śmieszne, ale drugim takim stworzeniem na naszej ziemi będzie świnia domowa...”

Różnica między kotem domowym i dzikim polega na tym, że kot dziki, to jest taki kot, który uciekł z domu i zdziżał”. Są to dwa wyjątki z wypracowania kandydatki, składającej egzamin pisemny z biologii. Aż strach pomyśleć, co by się stało z kandydatką gdyby poszła w ślady kota domowego i uciekła z domu. Może ona konkurować z inną kandydatką, która zdając na historię pisała w swym elaboracie: „Zygmunt August nadał w roku 1772 Konstytucję 3 Maja, szczyt postępu i demokracji”.

A oto niektóre argumenty, jakimi przemawiano do Komisji, aby umieścić kandydatów w grupie uprzywilejowanej:

1) Kapitan X, komendant obozu kolarskiego w Y, wystawił zaświadczenie, w którym zaznaczył, że kandydat winien być przyjęty na wyższą uczelnię, ponieważ przebywał w jego obozie, który „miał krzewić kulturę sportową wśród szerokich mas społeczeństwa wiejskiego i zbliżać młodzież wiejską z miastem”;

2) Jeden z „Inteligentów” chcąc ułatwić sobie dostanie się na wyższą uczelnię i przekonać Komisję, że miał utrudniony dostęp do kultury pisał w życiorysie: „W czasie okupacji ojciec zajął się pracą zarobkową (jak się okazało sprzedawał rąbanek) a ja siedziałem w domu bez nauki i kultury”.

Sądzę, że nie są bez znaczenia dla charakterystyki prac Komisji również i te wymienione wyżej kwiatki logiki niektórych kandydatów i ich protektorów.

Witold Łukaszewicz

Jerzy Miller

# UWAGI O „DZIWNEJ ZABAWIE”



Roger Vailland

W nr. 39 „Odrodzenia” ukazał się artykuł Vaillanda pt. „Bronię „Dziwnej Zabawy”. Nie broni się utworu, któremu nie stawiano by zarzutów. Zarzuty musiały być podniesione przez krytykę francuską. W nr. 42 „Odrodzenia” ukazała się recenzja Heleny Wielowieyskiej o tonie bezwzględnie aprobującym eksperyment Vaillanda. Powieść Vaillanda jest klasycznym przykładem tzw. amorficznej prozy — kompozycja powieściowa zmieszana z reportażem i pamiętnikiem. Zdaniem A. Wazyka twórczość amorficzna jest krańcowym rozkładem budowy powieściowej, jest to forma subiektywnego widzenia, spowiedź i porachunków, zmieszana ze szczytkami powieściowymi. „Widzimy w opinii literackiej — mówi A. Wazyk w dyskusji „Kuznicy” — próby uzasadnienia tej amorficznej prozy. Jeśli dzisiaj się mówi o jakichś subiektywnych normach budowania utworu powieściowego, to te wszystkie normy niesprawdzały się z podświadomą tendencją ekspresjonistyczną. Według przyjętego uzasadnienia — jakieś napięcie przeżytych treści nie pozwala pisarzowi napisać powieści i zmusza go do szukania nowych gatunków”.

W naszej powojennej literaturze nie znaleźlibyśmy powieści, które dałoby się porównać z książką Vaillanda, jeżeli chodziłoby o zakres tematyczny. Akcja prozy Vaillanda rozgrywa się w czasie wojny w środowisku ruchu oporu. Główne postaci powieści zaangażowane są w lewicę, w partię komunistyczną. Pochodzenie społeczne bohaterów drobnomieszczańskie albo mieszczańskie. Można odnaleźć podobieństwo pomiędzy młodzieżą

Marata a młodzieżą bohatera „Jeźdźcy Bożeńskiego”, lub nawet bohatera „Drewnianego Konia”. Podobnie jak u Brandysa i Dygata postawy wojenne ich postaci są uwarunkowane ich pochodzeniem społecznym, wychowaniem i sytuacją ekonomiczną ich krajów jeszcze w okresie międzywojennym. Podobną metodę pisarską stosują wszyscy ci autorzy, cofając się za pomocą retardacji jeszcze do lat przedwojennych.

Pomijając enigmatyczną wartość powieści Dygata, czy Brandysa w ocenie obiektywnej rzeczywistości, w ich książkach znaleźć można próby uzasadnienia losów bohaterów wyłącznie w wychowaniu domowym. Już wówczas zostaje zdecydowane ich życiowe osamotnienie. Wszyscy trzej pisarze próbują z dzieciństwa wywieść szereg kompleksów swoich postaci. U bohatera „Drewnianego Konia” wytworzyły się już wtedy neuropatyczne kompleksy; Dygat swego bohatera wtłoczył w atmosferę drwiny.

Vailland przede wszystkim daje pełniejszy obraz ludzi, którzy wywodzą się z drobnomieszczaństwa w latach przedwojennych dochodzili do pełnoletności. Streszczam słowa wypowiedziane w obronie powieści: lata międzywojenne skazywały synów drobnomieszczaństwa na powolną degenerację. Przyspieszenie koncentracji wielkiego kapitału pogłębiło różnicę pomiędzy drobną burżuazją a mieszczaństwem. Kariery zostały wyłącznie zarezerwowane dla synów drobnej kasty tzw. „dwustu rodzin”. Niespodziewany awans nie mógł się zdarzyć. Syn drobnomieszczaństwa wiedział, że w praktyce skazany jest całe życie tkwić w szarym drobnomieszczańskim stanie. Jeżeli posiadał serce i umysł, buntował się. Lecz ów sprzeciw nie miał wyrażonej metody. Trudno było stać się świadomym rewolucjonistą. Nie trzeba zapominać, że młodzież burżuazyjna nie miała żadnego kontaktu z ludem swego kraju.

Młodzi Francuzi szukali wyjścia w surrealizmie, w narkotykach, w anarchii, w przygodzie a la Malraux. Zgodnie z metodą powieści o losach ich decydował przypadek. Wielu z tych oślepiłych „desperados” dopiero wojna zmusiła do zajęcia wyraźnego stanowiska. Najlepsi z nich znaleźli się wówczas u boku robotników francuskich. Z ludzi marginesowych stali się patriotami, rewolucjonistami. W walce znaleźli rozwiązanie nekających ich sprzeczności. Akcja powieści rozgrywa się wśród takich ludzi. Toczy się w dniach poprzedzających wstąpienie Marata do partii komunistycznej. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Lamballe. W trakcie czytania powieści oszarnia nas obawa, o ile zmiana, jakie się dokonały w nawiązaniu „desperados”, których wymownym przedstawicielem jest Marat, znajdując swój odpowiedni kształt przy przejściu na pozycję zaangażowanego członka ruchu oporu — komunisty. Pojęcie walki o ile nie oznaczy się ściśle jej celu, jakże jest dopasowane do znaczenia słowa „desperados”. Zmiana jakie odnotowuje Vailland w postępowaniu Marata są nieznaczne. Streszczają się one w gruncie rzeczy nie na zmianę sposobu życia, lecz na zmianę sposobu myślenia. Marat staje się obowiązkowy: „Nawet za cenę spotkania się z ministrem dawniej nie porzuciłby kobiety. Obecnie porzuca ją, aby wysłać do Londynu wiadomości, któ-

re nigdy nie przydadzą się na nic”. Można zapytać się, czy to jest istotna zmiana w zachowaniu się członka partii — komunisty? Marat przekonuje Ankę do komunizmu: „W każdej wiosce francuskiej ludzie dzielą się na dwie nieprzejednane partie, czerwonych i białych, lewicę i prawicę. Ten antagonizm dałoby się wyśledzić poprzez całą historię człowieka”.

Wielowieyska pisze, że książka jest psychologicznie doskonale umotywowana. Trudno jest jednak wyśledzić powody skłaniające Marata do gadulstwa. Wygadał się przed Matyldą z tajemnic ruchu oporu. Cała dalsza akcja powieści to już spożywanie konsekwencji tej lekkomyślności. Walka pomiędzy Maratem a Matyldą jest potrzebna Vaillandowi do kompozycji powieściowej. Jej rozwiązanie jest niezależne od wszelkiej psychologii i socjologii. Jest dziełem przypadku. A zatem powieść Vaillanda jest powieścią o losie. „Los nie wie co to moralność”. Nie rozumiem, dlaczego Vailland postawił sobie za cel podkreślanie doskonałej symbiozy istniejącej pomiędzy nacjonalistami a komunistami walczącymi o niepodległość. Wymagałoby to pełniejszego naświetlenia od tego, jakie daje Vailland. Komuniści zajęci są podobnymi miłośnymi. (Wieczór Karakalli i Marata). W przerywach zajmują się przemytem bibuły itd. Czynią to samo, co degaullisci. Nie ma pomiędzy przedstawicielami tych skrajnych kierunków walk ideologicznych. Natomiast są one rozważane po inteligentku w sumieniu Marata, Fryderyka. Anki. Vailland nie wyjaśnia na czym zasadzała się współpraca Marata z Karakallą. Czy rzeczywiście zawieszenie dawnych sporów było pełnomocne aż do zakończenia wojny? Nie próbuję wyjaśnić, dlaczego część nacjonalistów znalazła się w szeregach petainowców.

Doskonale natomiast ukazuje nam autor inteligentność nowokreowanych komunistów, przejawiająca się np. w skłonności do rezonowania. W scenie rozmowy z Anką Marat zwierza się: „Biję się u boku komunistów, uznaję bez zastrzeżeń doktrynę, robię wszystko, co mogę dla partii, więcej być może niż niejeden aktywista. Ale ja nie mam stylu komunistycznego... Jestem synem mieszczańskim. Walczę przeciw swojej klasie wszelkimi siłami, ale odziedziczyłem jej nałogi, lubię jej zbytek, jej przyjemności”. Nieco przedtem Vailland w wypowiedzi od-autorskiej odpowiada na pytanie: dlaczego Fryderyk jest komunistą, w następujący sposób: „Dla tych samych powodów, które w innych czasach kazałyby mu wstąpić do klasztoru, dlatego, że partia ma doktrynę, również ściśle jak dogmat i wymaga od swych członków bezwzględnej dyscypliny”.

Marat dekonspiruje przed Matyldą organizację. Dziwimy się temu, ponieważ stosunek Marata do Matyldy jest podejrzliwy. Matylda jest narkomanka, jest cyniczna. Jednak Marat umawia ją na spotkanie z Karakallą. Odtąd zaczyna się właściwa „Dziwna Zabawa”. Matylda staje się donosicielką. Marat załatwia sprawę uwolnienia Dannego z więzienia. Nie wiadomo tylko, dlaczego była im potrzebna dla uwolnienia towarzysza Matylda. Danił przecież miał więcej kochanek. Po to uruchamia się cały aparat or-

ganizacji, angażuje się dygnitarza ruchu oporu. Vailland zaczyna się posługiwać chwytami sensacyjnej literatury. Odtąd tok powieści zaczyna warkota płynąć, niekiedy jeszcze komentarz, czy fragmenty pamiętnika (nota bene wyłamujące się z ogólnej konstrukcji) próbują ratować powieść.

Jako przykład sceny wulgarniej, tendencyjnie przerysowanej, a zatem bez wartości, przytoczę moment, gdy dwaj kolaboracjoniści, dziennikarze, rozpoznali w Maracie dawnego socjalizującego kolegę. Zgodnie postanawiają go zademonstrować. Dialog niewybredny. W trakcie rozmowy częstują się potrawami o zawrotnych cenach. Zamawiają trzecie porcje befsztyków. Jeden z nich powiada: „Trzydzieści srebrników na czarnym rynku Jerozolimy musiała kosztować nocna befsztyku. Oni przychodzą (tacy jak Marat) zaciągnąć się wonią naszych przytych trupów”. Zaczyna wymiotować — To nie jest udany sposób kompromitacji kolaboracjonistów.

„Dziwna Zabawa” toczy się dalej. Marat ostrzega Chloe, aby wzmogła czujność i nie ukrywała tak wielu konspiratorów u siebie. Ta odpowiada: „Nigdy nie bede ci dość wdzięczna. Tak nudziłam się przedtem”.

Pobył Marata na prowincji nie pozostaje w związku logicznym z konstrukcją powieści. Dwudziestogodzinna rozmowa ideologiczna z Anką w czasie, gdy oddziały partyzanckie wysadzały pociąg wiozący generała, nie mogła mieć swego realnego odpowiednika.

Działacze oporu obstawiają Marata, gdy idzie na spotkanie z Matyldą, obstawiają Matyldę, Karakallę.

Książka może być rozmaicie rozumiana przez rzesze czytelników. Ruch oporu nie znalazł w powieści Vaillanda należnego oświetlenia. Niezręczna obronczyńnią Vaillanda staje się Wielowieyska, gdy pisze: „Postaci konspiratorów są tak różnicowane społecznie, politycznie i psychologicznie, że pomimo braku (w powieści) przedstawicieli robotników można w sumie uznać ich za społeczeństwo francuskie, tym bardziej, że o tych robotnikach walczących w powieści jest mowa”. — Złe czyni Wielowieyska broniąc w ten sposób Vaillanda, bowiem przytoczone zdanie nie ma sensu.

W OSTATNIM NUMERZE 43 (172) z dnia 24 października 1948 r.

Zbigniew Wasilewski — Front nauki; Anieła Wyreba — Polonistka warszawka; Konrad Nalecki i Andrzej Wajda — Głos młodych artystów; Jerzy Miller — Poezje; L. S. — Na obradach działaczy chłopskich; Tadeusz Drewnowski — Plakat, który zapowiada zjazd; Mieczysław Grad — Walka klasowa na wsi rzeszowskiej; Wiesław Jażdżyński — Notatki o „martwych duszach”; Andrzej Braun — Sprawa Żelbeta; Ludwik Marcinkowski — Boi się on więcej republiki niż ateizmu; Stanisław Golachowski — Miasto przemian społecznych; Stanisław Gebała — Nowoczesne „przyznanie do ziemi”; Fałta i zdania; Komunikat; 18 ilustracji; 12 stron.

\*) „Dziwna Zabawa” Roger Vailland, „Czytelnik” 1948

Edmund Niziurski

# Pieniądz i filantropia na prowincji

**N**a progu twórczości każdego pisarza o silnej indywidualności artystycznej znaleźć można dzieło - prospekt. W dziełku takim po raz pierwszy, po okresie młodzieńczych poszukiwań i terminatorek pisarskich, wypowiada autor własne „credo” i stawia pewne zagadnienia, które odąd będzie stale pogłębiał i rozwijał. Takim kluczem do twórczości Żeromskiego jest niewielka powieść „Promień”, której pierwodruk ukazał się w warszawskim „Głosie” w r. 1887.

Obok znanych z późniejszych powieści motywów powrotu w strony rodzinne czy do gubernialnego miasteczka (Łzawiec z „Promienia” podobnie, jak Kleryków z „Szyfówkowy prac” to jeszcze jedna literacka wizja Kielc), wysuwa się tu na czoło zagadnienie **pracy społecznej**.

Literaci, namiętni badacze rozwoju społecznego, podobnie jak uczeni, studujący typowe przeobrażenia się organów żywych, łapią procesy społeczne w najkrytyczniejszych momentach. Cała powieść XIX wieku to epopea liberalizmu wojującego i zwyciężającego. Takim jest Balzac, takim Prus. W „Lalce” kapitalizm szturmuje jeszcze do twierdzy. W końcu XIX wieku przemiany gospodarcze i społeczne zaczęły obejmować i prowincję. „Promień” Żeromskiego przedstawia właśnie ostatni etap tej walki na prowincjonalnych opłotkach Łzawca. Przeprowadzenie kolei wciągnęło zapadły Łzawiec w orbitę gospodarki przemysłowej. Miotła kapitalistyczna wyrzuca na śmietnik dawnych rzemieślników i kupców z tradycją sięgającą czasów „Powrotu taty”. Kogo oszczędził „młot przemysłu fabrycznego”, tego dołbia życie nad stan, którym mieszczaństwo zaraziło się od hulającego ziemiaństwa w wyniku rozwiązywania patologicznego problemu „ja i arystokracja”, analizowanego ciekawie przez Chałasińskiego w „Społecznej genealogii inteligencji polskiej”. W tym ujęciu zagadnienia można się doszukiwać bliskich analogii między tragedią kupca - bankruta Żłopowicza z „Promienia” a tragedią Wokulskiego. Pojawiają się ludzie nowi, ludzie odrobienia „pieniącha” za wszelką cenę i sekundująca im inteligencja zawodowa z adwokatem Koszczyckim w roli głównej. Mimo chodem należy zauważyć, że ta elita małomieszczańska ma szczególne zabarwienie. Ciążą na niej silnie wpływy szlacheckie. (Żłopowicza zarząca wielkopański tryb życia, miejscową opinię reprezentuje „Gazeta Łzawiecka”, silnie, trzeba by powiedzieć monstrualnie szlachecka, chociaż i zamężniejszemu mieszczaństwu nie odmawiała praw bytu i prenumeraty). Nadto elitę tę cechuje swoista hipokryzja, strojenie się ustawicznie w piaszczyk „etyki”. Etyka staje się piłką, rzucaną z rąk do rąk, kijem w ręku moźnych. Etyką próbowało czcigodne grono łzawieckich mecenasów powstrzymać „wierzgającego” Koszczyckiego „od konkurencji w brudnych interesach”. W imię etyki ćwiczył na łamach „Gazety Łzawieckiej” red. Olsniony Raduski. I pożał się Boże, jakaż to była etyka?! „Zródłem istotnego zgorznienia był felieton (w piśmie Raduskiego), doradzający paronom, „żeby w chwilach wolnych od marzeń i walków, myły podłogi i przynajmniej z lekką szorowały schody (srodze brudne w mieście Łzawcu). Było to rzecz prosta bezbożne szarganie świętej instytucji rodziny, obyczajów i moralności”.

Ze szczególną uwagą obserwuje Żeromski życie nowej klasy społecznej: motłochu łzawieckiego. Ledwo zmęczony podróżą Raduski przybył do Łzawca, już autor każe mu obchodzić wieczorem załki łzawieckie i zaglądać do okien jak upiorowi. Rezultat — pobicie Raduskiego przez opryszków tutejszego White Chapel, lecz i skompletowanie smutnej socjologii miasteczka. Centrum pełne blichtru i łajdacie przedmieścia. Przesuwają się przed oczyma Raduskiego: służąca piorząca jedyną koszulę na święto — ów Kaliban z „Burzy” Szekspira, półwierzę, półczłowiek... Marysia czy Kasia, nasz kulturalny Haustier... dalej wykluwacz pomnikowy, żydźlak-szewczyk, Szymek robociarz. W wyniku tego przeglądu „w umyśle tkwiło jedno jedyne słowo, przemierze i bolesne, mieszczące w sobie cały prawie rezultat myślenia: motłoch... Przemysł fabryczny, stupodowym młotem druzgoczący rzemiosło, w tym celu, żeby płodami trudu obdartych tłumów zalać rynki bez najmniejszego pożytku dla cywilizacji miejsca, z którego się począł”.

Zagadnienie zostało postawione.

Jak ustosunkował się Raduski do przeobrażeń społecznych i gospodarczych Łzawca? Dla zdeklasowanych kupców i rzemieślników, z którymi żył się w czasach szkolnych, ma sentymentalną tezkę w oku, lecz w gruncie rzeczy jest za bardzo pozytywistą, by potępiać brutalne bo brutalne, ale w każdym razie wyraźnie przybliżyć Łzawca do „cywilizowanego” świata. Jako dziecko liberalizmu wierzy w dewizę laissez faire, laissez passer i w charakterystyczny fatalizm rozwoju stosunków gospodarczych. Uznaje samoczynność i samoregulowanie procesów gospodarczych na tym najlepszym ze światów i twarde prawo walki konkurencyjnej. Nie światu ma jeszcze myśl, że ten system nie jest konieczny. Lecz jako altruista nie może przejść obojętnie o bok ofiar wojującego kapitalizmu i przyjmu-

je smutną rolę zbieracza trupów i sanitariusza pobożowisk, na których ludzie pokroju Koszczyckiego walczą o „pieniącha”.

W rozmowie z Żłopowiczem, wypowiada Raduski swoją doktrynę społeczną: „wszyscy powinniśmy mieszkać czysto i ciepło, chodzić w kortowych ubraniach, nie zaś w gałganach. Ale jakże możemy przyjąć do tego, kiedy pasibrzuchy z głupoty dają bałe za balami, jeżdżą karetkami dla mody, utrzymują próżnujące dziewczyny i w takie bagna ciskają nasze pieniądze”.

Doktryna ta, to stary katechizm wiary liberalnej. Cel gospodarki społecznej, to powszechny dobrobyt. Srodki — to oszczędność społeczna.

Chodzi o to, by „pasibrzuchy” zamiast przepuszczać pieniądze — inwestowały (zawsze coś na tym mimochodem zarobi ludek łzawiecki), a co im zbywa, zużywały na cele charytatywne. Na uwagę zasługują jeszcze słowa Raduskiego: „nasze pieniądze”. Raduski znajduje się tu o krok od socjalizmu, gdy pozwala sobie zauważyć, że kapitał nie jest tylko prywatną własnością pasibrzuchów, lecz stanowi pewne dobro społeczne.

W twórczości Żeromskiego sciera się dwa zasadnicze pierwiastki: brutalna wizja życia takiego, jakim ono jest i wizja życia takiego, jakim być powinno. Nie należy sądzić, że Żeromski aprobował tylko wizję drugą. Przeciwnie, świat zastany, świat rzeczywisty pociągał go swoją przewagą materialną. Jednostki ujemne w powieściach Żeromskiego górują zazwyczaj nad dodatnimi praktycz-

Paulina Czyżowa

## Katolicka pochwała wsi

**W**śród pism literacko - społecznych w Polsce Tygodnik „Wiś” specjalizuje się w sprawach wiejskich. Wydawałoby się, że publicystów piszących o wsi i redakcje innych pism powinna obowiązywać ogólna choćby orientacja w stanie publicystycznych i reportażyowych osiągnięć tego pisma, które w skali ogólnej poświęca się problematyce wsi. Publicystyka wiejska „Wiś”, nie przesadzając w tej chwili o jej wartości, stworzyła typ reportażu artykułowego, opartego na wiedzy socjologicznej, operującego faktami jednostkowymi dla ukazania określonego, kierunkowego systemu rzeczywistości. Umyślnie ograniczamy się do wyciszenia formalnych cech tego rodzaju reportażowego. Chcemy bowiem pokazać naszym czytelnikom inny typ reportażu wiejskiego uprawianego przez publicystykę Katolickiego Tygodnika Społecznego „Dziś i Jutro”. Same różnice formalne, literackie odsłonia ideologiczną przepaść między ujęciem wsi naszym a pisma katolickiego. Literat wyjeżdża sobie na wieś, patrzy, obserwuje, rozmawia z ludźmi, a wiedza, jaką wynosi stąd, nie ma nic wspólnego z obiektywną rzeczywistością t. zn. z jakimkolwiek naukowym i sprawdzalnym ujęciem. Dziennikarskie impresje wiejskie pisarza katolickiego podpierają tylko jego prywatny światopogląd, jego plebańskie nawyki myślenia o wsi.

Będzie mowa o reportażach wiejskich Józefa Majkuta w „Dziś i Jutro”. Redakcja tego pisma, które znamy jako pismo par excellence polityczne, poprzedziła cykl reportażu wiejskich Majkuta wstępem, w którym zastrzeżenie, że reportaż nie pozabawione będą pierwiastka publicystycznego czy polemicznego. Ujrzymy więc samą „neutralną” rzeczywistość tego środowiska, które tak mało jest znane publiczności literackich pism w Polsce, ponieważ nikt się nim nie zajmuje. (Robimy to w naszym piśmie od 4 lat).

W trzech kolejnych reportażach z cyklu „Wiś bez kurtyny” Józef Majkut odmalował wieś ciężkim pendzlem starą kurtynę zawieszoną od dawna na teatrze wsi. Zresztą i farby nie są świeże — maluje się zużytymi i banalnymi środkami literackimi podrzędnej powieści w której wieś wprowadzona jest dla efektu swojskości, świeżości pejzażu.

Majkut ukazuje wieś jako wzór moralny dla zepsutej kultury urbanistycznej, a przede wszystkim w systemie „służby Bożej”, w instytucjach kółka różańcowego, kapliczki i naturalnej „zdrowej spóldzielni”, jaką jest źródło, z którego cała wieś czerpie wodę: „Niedaleko od tego obiektu nad krynicznym strumieniem stoi od wieków potężna lipa: ostatni Mohikanin miodem pachnącej puszczy — święte Gromadzie Drzewo Majdanu. W okresie kwitnienia sadu, gdy szary zapadnie mrok lub mleczna poświata księżyca, roznieście się zapach jaśminów i bżów, ze wszystkich ulic i przejazdów wychodzi radośnie uśmiechnięta młodość. Wszyscy pod kołnierzem staruszek lipy, do kapliczki św. Jana, starsi modlą się za grzechy młodości, młodzi dziękują za radość życia”.

Oto wieś. Toteż dla młodzieży zebranej na drodze wiejskiej zasadniczym problemem jest, dokąd iść? Na różaniec do kapliczki w pobliżu, gdzie w tej chwili mamy i ciotcie pieją nabożne pieśni — czy też na Podbieliszę, na zabawę, skąd słychać skoczne tonny harmonii...

Wprawdzie szatan podszeptął najpierw zdrożny wybór — na zabawę, ale zdrowe sumienia młodzieży wiejskiej, zwłaszcza tej z kółka różańcowego, przeważały — udano się na modlitwę. Potem dopiero zabawa. „Mimo braku jakiegokolwiek propagandy

nością życiową, konsekwencją w działaniu, co więcej, typ zdecydowanie negatywny jakim jest w „Promieniu” karierowicz, adwokat Koszczycki znajduje się bliżej prawdy społecznej ówczesnego świata mieszczańskiego niż apostoł społeczny — Raduski. Koszczycki reprezentuje w powieści „człowieka epoki”, mikrokosmos kapitalizmu drapieżnego. Jest on pewną doskonałą całością artystyczną, pokazowym okazem oświeconego kapitalizmu. Koszczyckiemu powiodło się w życiu. Zrobił „dużego pieniacha” za cenę paru tam skrupułów moralnych. W karierze pokierował się swoistą filozofią życiową. Nie wesoła to filozofia: „natura człowieka jest zła, co więcej podła” — zwierza się Raduskiemu. W takim świecie nie ma miejsca dla marzycieli, dla niedowarzonych społeczników, którym zarzuca niedołęstwo życiowe i dyletanctwo społeczne.

„Wy jesteście jacyś papierowi, płócienni, brązowi czy gipsowi, jacyś malowani ludzie. Wy nie macie wad, ale też dla mnie, daruj nie macie zalet. Człowiek zwyczajny to jest przede wszystkim człowiek, wieczny poszukiwacz chleba dla siebie i swych dzieci, jest to mrówka biegająca tu i tam...” O wartości społecznej według Koszczyckiego decyduje praca produkcyjna, zapobiegliwość w gromadzeniu dóbr ekonomicznych. Ludzie jak Raduski nie znają życia i nie potrafią poprawić „szelmowskiej duszy ludzkiej”. Wpływ na kształtowanie się stosunków ludzkich mogą wyrzucić jedynie ludzie „zwyczajni”, ludzie interesu. Ci stanowią sami cząstkę realnego życia i mogą czasem skorygować metody po-

stępowania własne i bliźnich. „Ja nie jestem od cnót” — oświadcza cynicznie Koszczycki — „sam się pożywię z ochotą na drugim, gdy mogę, ale urządzam sobie od czasu do czasu taki deser”.

Dotykamy tutaj zasadniczego zagadnienia „Promienia” a mianowicie sensu pracy społecznej. Prawdziwa praca społeczna ma to do siebie, że zmierza w pierwszej linii do wykrycia zasadniczych przyczyn bolączek życia społecznego a następnie do zwalczania ich w sposób planowy i konsekwentny. W odróżnieniu od pracy społecznej filantropia jest zawsze jałmużną, łaskawym gestem w celu doraźnego polepszenia czyjejś sytuacji, bez dociekania istoty zła. W tym ujęciu filantropia zwraca się do samego dobroczyńcy, służy do uspokojenia jego sumienia. W Raduskiemu walczy społecznik z filantropem. Typowym odruchem filantropijnym, powiedzmy więcej, odruchem naturalnym, gdzie przejawia się właściwy charakter Raduskiego, są choćby takie rozważania na widok dziewczyny niedzkiej piorzącej swoją jedyną koszulę na Wielkanoc:

— „Wejść do tej sionki, cisnąć na środek sto rubli... — Wyjął z kieszeni pugilares, otworzył jedną z skrytek i szukał w niej pakami przez chwilę. Potem zamknął go szybko i odszedł z tego miejsca. W myśli przesunęło mu się w tej chwili zdanie: Jako woda gasi pragnienie, tak jałmużna wysusza grzech i dziki śmiech niby echo zabrzmiał po nim w duszy. — Więc i w tej sprawie o mnie chodzi, o moje grzechy, nie o tamtego człowieka”.

Raduski nie dostrzega istotnych przyczyn zła społecznego tkwiącego głęboko korzeniami w ówczesnej strukturze społecznej. Stąd jego działalność charytatywna nierazko zmierza tylko do przedłużenia vegetacji obumierającego ustroju przez bandażowanie jego cuchnących ran. Raduski jest smutnym idealistą, który chce rozwiązywać problemy społeczne na płaszczyźnie przede wszystkim moralnej, przez apelowanie do serc moźnych. Jego organ „Echo Łzawieckie” dąży do poprawy bytu ludzi pracy i podnoszenia kultury w drodze informowania świata o rzeczywistym położeniu „motłochu” łzawieckim i udzielania admonicji moralnych.

W okresie tym niewątpliwie otarł się Żeromski o socjalizm, lecz trzeba było jeszcze długiej drogi od „Promienia” do „Przedwiośnia”, by włączyć na serio możliwość przemian na tej drodze. Na razie Żeromski nie roztrwonil jeszcze swej spuszczony idealistycznej. owoych 20.000 rubli Raduskiego po stryju. Cięży na nim urok Szwejcarii, gdzie przeciwieństwa klasowe zamaskował dobrobyt i specyficzne warunki tego kraju.

Jeśli taką postawę może coś usprawiedliwić, to chyba beznadziejność ówczesnego położenia politycznego, gdzie żadna myśl postępową nie mogła być popularyzowana legalnie. Pozostawało bandażowanie ran.

Raduski nie jest postacią odosobnioną w życiu naszych miasteczek prowincjonalnych. Konieczność oparcia każdej prawdziwej pracy społecznej na ruchach postępowych powodowała, że do niedawna mieliśmy do czynienia raczej z filantropią niż pracą społeczną. Lenistwo duchowe, konserwatyzm, paniczny lęk przed poderwaniem usankcjonowanego status quo nastawia negatywnie syte warstwy społeczeństwa wobec każdego przejawu rzetelnej pracy społecznej. Dość wspomnieć o trudnościach, z jakimi muszą się borykać na prowincji dzisiejsze organizacje społeczne o światopoglądzie postępowym.

Tym łatwiej wegetuje za to filantropia — owo okupywanie się, usprawiedliwianie własnej obojętności przez zrzućcie paru groszy na jakąś tam kwestę, które najpełniejszy chyba wyraz znalazło na tabliczkach wydawanych przez „Caritas” tej mniej więcej treści: „Zabrakom wstęp wzbroniony! Jałmużnę wydaje za mnie biuro „Caritas”. W ten sposób doszło do zryczalcowania ofiar i zorganizowania jałmużny. Oto wszystko, na co filantropia mogła się w tej dziedzinie zdobyć.

Niepotrzebnie redaktor Olsniony widzi w Raduskiemu konkurenta. Na dłuższą metę Raduski nie jest niebezpieczny. Nawet jeśli ma silne nerwy i spory kapitalik w banku. Nawet jeśli przetrzyma próbę mądzejowego łoża jaką w imię etyki zgnotują mu Koszczycki i Olsniony. Owszem krzykacz uczynną. Wariatowi da się spokój. I na wariatach można zrobić niezły interes. Ich niegroźne działania wzmacnia autorytet pasibrzuchów. Z Raduskiego zrobią sobie reklamę i parawan dla swych postępków. Nazwiskiem Raduskiego można będzie zamykać usta malkontentom: „Zarzućcie nam sobkostwo? patrzcie, czego dokonał jeden z nas!” Gdy społecznik zostanie prezesem iluś tam filantropijnych kółek, gdy porośnie w piórka i zacznie rozczulać się nad ogromem „orki na ugorze”, jakiej dokonał — podtatuje się, wejdzie do towarzystwa, nauczy się dobrych manier, puszystych mów — i gipsowy biust diabli weźmą.

Niebezpieczna u Raduskiego jest tylko młodość i 20.000 rubli po stryju (sam Raduski zapewne nigdy nie potrafiłby zarobić takiej sumy). Z ich pomocą może jeszcze jakiś czas psuć krew Olsnionemu. Ale tylko jakiś czas. Gdy wygasną złudzenia młodości, gdy wyczerpie się fortuna stryjowa — Raduski automatycznie przestanie się liczyć.

Filantropia nie może istnieć bez łaskawego „pieniącha” sytych. Jest przecież tylko des- serem Koszczyckiego.

\* Stefan Żeromski „Promień” Spółdzielni Wydawnicza „Czytelnik”, 1948.

Marian Lityński

## Przegrupowania w produkcji rolnej

W przeciwieństwie do utartego poglądu, że wyłącznym producentem warzyw jest podmiejski ogrodnik — dane statystyczne z r. 1946 stwierdzają, że:

a) w zakresie produkcji owoców — 85,4% jest w ręku chłopów, 8,5% w resztówkach Zw. S. Chł., zaś 6,1% w ręku państwa (P.N.Z., P.Z.H.R. i tp.);

b) w zakresie produkcji warzyw — 74,7% w ręku chłopów, 7,4% w resztówkach Zw. S. Chł., 13,6% w ręku państwa (P.N.Z., P.Z.H.R. i tp.) zaś tylko 4,3% w ręku ogrodników podmiejskich.

Co to oznacza? Oznacza to, że 3/4 obu użytkowych działów ogrodniczych znajduje się w ręku chłopów, t. zn., że produkcja ma miejsce na rozdzielonych parcelach i skutkiem tego jest trudna do ujęcia tak pod względem technicznym, jak i dystrybucji.

Według cyfr z r. 1947 około 2 miliony ton warzyw i około 1 miliona ton owoców wyprodukował w 85% drobny warsztat chłopski.

Planowane uprzemysłowienie kraju stwarza szczególną koniunkturę dla rozwoju miast. Miasta i większe osiedla fabryczne muszą być zaopatrzone w warzywa — przeto rozwój miast wpływa pośrednio na rozwój upraw warzywnych. W wyniku postępującego uprzemysłowienia zmniejsza się nadmiar ludności wiejskiej — zwiększa się opłacalność pracy w rolnictwie, co na tle ogólnych braków w wyżywieniu świata w perspektywie wielu lat — przy zmianie na całym świecie metod odżywiania się człowieka — wyklucza powrót tragicznego przed wojną zjawiska: emigracji chłopów.

Ale do produkcji warzyw nie zaliczamy tylko pozyskania surowca — ale także wliczyć tu należy zakłady przetwórcze, jako odzinek nierozdzielnie związany z planową gospodarką tej produkcji. Pod tym względem mamy ogromne niedociągnięcia np. na naszych Ziemiach Odzyskanych, na których przemysł przetwórczy posiada około 17 odbudowanych w 90% wytwórni — przy bardzo słabej bazie surowcowej. Gospodarka planowa nie może na dłuższą metę tolerować istniejącego stanu rzeczy. Jest źle — i to tak na odcinku produkcji, jak dystrybucji. Jest pilna potrzeba najrychlejszego uchwycenia w społeczne ramy dotychczasowej dzięki w swej masie produkcji warzyw i ich rozprowadzenia, a to ze względu na racjonalne i planowe zaopatrzenie ludności pracującej. Produkcja warzyw musi ustawić się na nowej, innej niż dotychczasowa, płaszczyźnie społecznej, musi uwzględnić także inne, nie prywatne źródła gospodarcze, w szczególności spółdzielcze i państwowe.

Czy jest to ekonomicznie i społecznie uzasadnione? Odpowiedź na to doświadczenia na zachód i wschód od naszego kraju, które potwierdzają wyższość i rentowność gospodarki na większych przestrzeniach, umożliwiających użycie maszyn i silników w uprawach i zbiorze roślin uprawnych.

Gospodarka planowa nie może również tolerować obecnych form zaopatrywania miast i osiedli przyręcznych w warzywa.

Obecne formy sprzedaży (np. t. zw. ziele-

niaki) zapewniają jedynie miejsce dla dowozonego, czy donoszonego produktu — nie ujmują zaś ani podaży, ani popytu, co prowadzi do częstego zwrotu podawanego materiału do producenta i ogromne, społeczne marnotrawstwo czasu człowieka wsi. Wydaje się, że socjalistyczna gospodarka planowa, eliminując momenty konkurencji na rzecz współzawodnictwa, może rozwiązać to zagadnienie jedynie przez uspołecznienie tak produkcji, jak i dystrybucji warzyw w kraju.

Wynikają z tego potrzeby przemysłienia nowych form produkcji i dystrybucji warzyw. Spółdzielnie ogrodnicze muszą dążyć do stopniowej zmiany starego systemu zbytu surowca i wypracowania nowego. Taką sieć spółdzielni — zaopatrzoną w chłodnię, nawet początkowo prymitywną — regulować winna podaż, likwidując przypadkowość dowozu i donoszenia surowca.

Dlatego nie możemy poprzestać na nauczaniu warzywnictwa na określaniu metod dobrej produkcji tak na gruncie, jak pod szkłem, ale musimy zainteresować się dalszym losem wyprodukowanego surowca i jego spożytkowaniem przez społeczeństwo — możliwością nabycia przez szerokie warstwy pracujących. Cóż za wartość społeczną przedstawia nawet najidealnie wyprodukowany surowiec i najstaranniej podany na rynek, jeśli jego konsumentem nie będzie ta baza społeczna, której na imię świat pracy. Musimy pamiętać, że świeże warzywa to energia społeczna, to zwiększenie intensywności pracy, to ograniczenie chorób, które prowadzą do straty roboto-godzin.

Mamy prawo przypuszczać, że jako wynik dokonanych u nas reform społecznych — zwiększy się baza społeczna konsumentów. Już dziś pewną rolę propagandową spełniają t. zw. stołówki pracownicze. Wielkie zadanie na tym polu stoi przed Społ. Obyw. Ligą Kobiet, która winna zorganizować w skali najbliższych lat akcję wykładów popularnych na temat biologicznej wartości warzyw i sposobu przygotowania ich z zachowaniem składu witaminowego. Będzie to wielka akcja na rzecz popularyzacji umiejętnego spożycia.

Zdaniem moim, w ramach planowej gospodarki krajowej produkcja warzyw winna być tak zorganizowana, aby:

- pokryć zapotrzebowanie społeczne w skali odpowiadającej większemu zużyciu na głowę ludności;
- zachować w podawanym surowcu pełną wartość odżywczą na zasadzie nowoczesnej wiedzy o higienie odżywiania się człowieka;
- spożytkować w racjonalny sposób na drodze przetwórczej produkty warzywno-owocowe, które nie mogą być spożytkowane w stanie świeżym, oraz handlowe odpadki tych produktów.

U nas spożycie warzyw jest bardzo niskie. Należy wywołać idące oddolnie społeczne zamówienie na tę produkcję. Tak, jak dziś nieszczęsne sprawy te wyglądają — oglądamy się za eksportem niektórych warzyw, nie mając zapotrzebowania nietylko faktyczne zgłaszanego, ile faktycznie istniejącego.

Dlatego sprawa zwiększenia spożycia świeżych warzyw i owoców jest tak istotna?

Wynika to ze zmiany modelu gospodarczego Polski, z jej postępującego uprzemysłowienia. Gdy w epoce poprzedzającej industrializację w krajach Europy zachodniej i Ameryki system odżywiania się społeczeństw można byłoby nazwać naturalnym, to dziś jest on funkcją posiadanego wyngrodzenia i siły kupna pieniądza. Dawniej mieszkańiec wsi zaspakał potrzebę organizmu wytworami otaczającej go przyrody o pełnej biologicznej wartości, gdyż czerpał je z bezpośredniego swego otoczenia. Dziś mieszkaniec miasta odżywia się dostarczonymi mu środkami spożywczymi o wysokiej cenie i wartości kalorycznej t. j. energiotwórczej, ale o niskiej biologicznej. Wiemy o tym, że im większe uprzemysłowienie kraju, im gęstsze jego zaludnienie, tym większa jest ostrość problemu racjonalnego odżywiania się ludności właśnie miast i osiedli fabrycznych.

Polska zmienia niezwykle szybko model gospodarczy, z kraju rolniczego o 70% ludności odżywiającej się systemem zbliżonym do naturalnego — zmienia się w kraj przemysłowo-rolniczy, w którym już za niewiele lat tylko 30% ludności zajęte będzie w rolnictwie, reszta zaś pracując w przemyśle i usługach odżywiać się będzie w sposób, daleko odbiegający od naturalnego. Jakże mogą być skutki takiego odżywiania? Obserwujemy je w wysoko uprzemysłowionych krajach, o niskim spożyciu świeżych warzyw i owoców. Objawia się ono w osłabieniu energii pracy, w jej wydajności, w zaburzeniach przemiany materii, w zwiększonym % chorób i tp. Wiedząc o tym na zasadzie doświadczeń innych narodów — należy wcześniej przystąpić do środków zapobiegawczych, a do tych niemal wyłącznie należy zaopatrzenie pracującego człowieka w świeże warzywa i owoce przez cały rok. Pełne rozwinięcie produkcji surowca warzywnego tak w gruncie, jak i pod szkłem może problem rozwiązać.

Badania wykazują, że przemiana materii jest bardziej żywa, zużycie energii znacznie ekonomiczniejsze w wypadku, gdy do codziennego pożywienia człowieka wchodzi choćby nieznaczny dodatek świeżych lub kiszonych warzyw. Z ciekawych doświadczeń nad witaminą A wynika np., że zawartość tej witaminy jest wyższa w suchej substancji pomidorów, niż w maśle.

Witamina ta znana jest również z tego, że przy przemianie materii w organizmie odgrywa rolę czynnika wprowadzającego oszczędniejszą gospodarkę tłuszczami. Jest to ważne dla społeczeństwa, szczególnie w okresie racjonalizacji gospodarki tłuszczami. Działanie alkoholu jest pod tym względem diametralnie przeciwne. Można śmiało powiedzieć, że propagując spożycie warzyw — zmierzamy ku oszczędniejszej gospodarce tłuszczowej.

Stwierdzono np., że okolice, w których uprawiano wiele warzyw zużywały dziennie 30% tłuszczów poniżej średniej, podczas gdy okolice bez uprawy warzyw, wzgl. ich ograniczonej produkcji (i konsumpcji) zużywały 50% tłuszczu powyżej przeciętnej dla całego kraju.

odmianę gruszy — tzw. ulegałkę. Pomidory, cebula, marchew, seler, pietruszka czy winogrona są tak dalece luksusem, że się za nimi nawet nie tęskni. **Więć nie rozumie pragnienia owoców i jarzyn.** Więć, a również i przeciętny robotnik, nie wie o przetwórstwie owocowym i możliwości nabywania owoców i warzyw nawet w okresie zimowych mrozów.

Czy w wypadku, jeśli drogą kontraktacji odda Państwo w prywatne ręce chłopów produkcję owoców i warzyw, potrzeba konsumpcji wzrośnie? Czy chłopci przyjmą odpowiedzialność za tę produkcję i spełnią swój obowiązek? Czy jakość produkcji będzie zadowalająca? Czy nie lepiej z jednohektarowych proletariatusz rzeszowskich uczynić ogrodników? Warunki klimatyczne i glebowe przemawiają za tym właśnie projektem. Ale co wtedy zrobić z transportem? Jak zorganizować dowóz do miast, jak przekonać chłopów innych okolic do nabywania tych produktów? A może P.N.Z., a szczególnie spółdzielnie produkcyjne powinny prowadzić racjonalną uprawę i hodowlę ogrodnictwa. Ma ten projekt sporo zalet, choć nie jest i bez wad.

Trzecie pytanie — jak wyhodować wysokogatunkowy produkt, jak zorganizować przemysł przetwórczy? Odpowiedź na to pytanie jest, sędzę, niemożliwa, jeśli nie otrzymamy odpowiedzi na pytanie drugie. Jeśli natomiast ustalimy producenta, to w państwie socjalistycznym, nie bojącym się „uroków” prawa o malejącej wydajności gleby (w kapitalistycznym ustroju nawet gleba się buntuje), nie trudno jest zorganizować racjonalną uprawę. Mamy tego fantastyczne przykłady w Z.S.R.R. Nie trudno będzie również celowo rozbudować przemysł rolny, pamiętając przy tym o eksporcie na rynek zewnętrzny.

Zatem — panowie planiści! Panowie specjaliści! Jak chronić szerokie masy ludności przed awitaminizacją? **Ile mamy produkować, kto i jak?** Agromomów społecznych trzeba natomiast zapytać, jaką drogą mają dojść do chłopów owoce i warzywa.

## Należy wiedzieć i pamiętać

Wielkość gospodarstw w r. 1935 w r. 1947

do 2 ha	—	38%	25%
2—5 ha	—	27%	33,2%
5—10 ha	—	22%	27%
10—20 ha	—	11%	11,5%
ponad 20 ha	—	2%	2,8%

W wyniku reformy rolnej i zaludnienia Ziemi Odzyskanych spadł odsetek gospodarstw karłowatych o 13 proc. Powiększyła się ilość gospodarstw drobnych (2—5 ha) i średnich (5—10 ha) o 11 proc.

Gospodarstwa karłowate (do 2 ha) — obejmują: 6 proc. ziemi chłopskiej — 1 mil. ha — 2,8 mil. ludzi.

Gospodarstwa drobne (2—5 ha) — 22 proc. ziemi chłop. — 3,8 mil. ha — 4,5 mil. ludzi.

Gospodarstwa średnie (5—10 ha) — 35 proc. ziemi chłop. — 6,2 mil. ha — 3,8 mil. ludzi.

Gospodarstwa wielkochołopskie (10—20 ha i powyżej) — 37 proc. ziemi chłop. — 6,8 mil. ha — 2,4 mil. ludzi.

Gospodarstw jest:

do 2 ha — 700.000  
od 2—5 ha — 988.000

Razem — 1.628.000 gospodarstw drobnych i karłowatych obejmuje 4,8 mil. ha z ludnością 7,3 mil. na 2.808.000 wszystkich gospodarstw chłopskich, na ogólną powierzchnię ziemi chłopskiej 17,5 mil. ha i na ogólną ilość ludności rol. 12.376.000.

Chłopi zatem drobnorolni zajmują mniej niż JEDNĄ CZWARTĄ ziemi chłopskiej, a stanowią więcej niż JEDNĄ TRZECIĄ ludności rolniczej, a obejmują więcej niż POŁOWĘ wszystkich gospodarstw chłopskich.

p. h.

## Dla aktywistów ZSCH

W przemówieniu ministra Minca na ostatnim plenum KCPPR czytaliśmy, że pomoc państwa pójdzie dla średniorolnych i małorolnych chłopów. Udział w rozprowadzeniu tej pomocy będzie miał w dużym stopniu Związek Samopomocy Chłopskiej. Chodzi o to, aby trafiła ona pod właściwym adresem. Pytamy, w jakim stopniu drobnorolni i średniorolni chłopci są objęci organizacyjnie ramami tej instytucji? Sprawa nie przedstawia się dobrze. Ze sprawozdania sekretarza generalnego ZSCH Mieczysława Bodalskiego na Plenarnym posiedzeniu Zarządu Głównego w dniach 17 i 18 lipca 1948 r. — wytrąka, że poza Związkiem, Samopomocy Chłopskiej znajduje się 1.312.000 — chłopów małorolnych.

Wymowna jest w tym sprawozdaniu jedna cyfra, mianowicie, że na ogólną liczbę członków na dzień 1 czerwca 1948 r. — 1.017.533 mieliśmy 1,3 proc. chłopów ponad 20 ha, co daje liczbę 13.692. — Zastanawia nas jeszcze jedna cyfra. Chłopów od 10 do 20 ha jest w Samopomocy 18% czyli 189.594. Pierwsza i druga grupa to chłopci niewątpliwie zamożni. Jest ich około 200.000. Należy przypuszczać, że uplasowali się oni z tradycji na stanowiskach czołowych w gminnych spółdzielniach Samopomocy Chłopskiej czy na ośrodkach maszynowych. Można się obawiać, że nie bardzo im zależało na przekazywaniu dotychczasowej pomocy państwowej biednym chłopom, można się obawiać, że nie bardzo im zależało również na tym, by rozszerzała się baza tych, którym pomoc w pierwszym rzędzie powinna być dana.

Aktywiści! Poza waszym Związkiem jest 1.312.000 biednych chłopów! Pamiętajcie o tym. Czuwajcie nad tym, kto zajmuje stanowiska kierownicze na szczeblu gminnym waszej instytucji. Wprowadzajcie na nie drobnorolnych, a wtedy na pewno coraz szybciej będzie malała cyfra tych biednych chłopów, którzy albo nie widzieli interesu we wciągnięciu się do ZSCH, albo byli od niego odpychani.

M. K.

Kazimierz Podlasiak

## Kilka pytań w sprawie warzyw i owoców

Ciekawy niewątpliwie artykuł Mariana Lityńskiego na temat znaczenia warzywnictwa, możliwości i wszechstronnych konsekwencji jego rozwoju każe dodatkowo postawić tak Autorowi, jak i innym specjalistom tego działu produkcji rolnej kilka pytań.

Produkcja warzyw i owoców jest ważnym działem w produkcji rolnej — to zgoda. Ze dotychczas nie wystarczy potrzebom własnym — również zgoda. Ze rozwija się po partyzancko, bezładnie, jak w starym, kapitalistycznym ustroju — jest niewątpliwą prawdą. Należy ten dział zatem jakoś uporządkować, uregulować, umieścić racjonalnie w systemie ogólnej produkcji planowo gospodarującego państwa. Stawiam zatem pytania, na które, albo nie ma w artykule Lityńskiego odpowiedzi, albo jest niepełna, lub też problematycznej słuszności.

Pierwsze pytanie — ile mamy produkować warzyw? Ile owoców?

O warzywa i owoce upominają się miasta. Dodajmy — przede wszystkim duże miasta: Łódź, Warszawa, Poznań, Wrocław, Kraków itp. Miasta te posiadają w swoim otoczeniu ożywioną produkcję obydwóch artykułów w formach stosunkowo wysoko pod względem techniki postawionych. Dzięki przemysłowi przetwórczemu oraz cieplarniom i przechodniom (możliwe, że są ich zbyt małe ilości) ludność tych miast może teoretycznie spożywać produkty ogrodowe przez cały rok. Wymiana między producentami i konsumentami odbywała się i obecnie odbywa na zasadzie absolutnej dowolności, tzn. ile producent zyczy sobie za kilogram, tyle (szczególnie zimą i wiosną) otrzymuje. Wynik? 85% ludności dużych miast je warzywa i owoce z „zieleniaków” tylko w okresie lata. Poza tym podziwia je przez wystawowe szyby. W miastach małych, osadach i wsiach o warzywach i owocach w miesiącach zimowych i wiosennych mówi się jak o zaczarowanym domu z pierników. Zapytajmy przeciętnego chłopca — „niebadylarza”, zapytajmy przeciętnego obywatela z Wielunia, Miechowa, Brodnicy, czy innego Łukowa, zapytajmy

łódzkiego robotnika, warszawskiego urzędnika, zapytajmy górniką z Zagłębia, kiedy je pomidory, jabłka, gruszki, rzodkiewkę, groch strączkowy itp? Odpowiedź na pewno potwierdzi powyższe twierdzenie. Jaki z tego wniosek? Wniosek jest taki, że trzeba policzyć, ile warzyw i owoców produkujemy obecnie, jaki to stanowi procent potrzeb konsumpcyjnych wszystkich ludności polskiej i wtedy obliczymy braki. Wtedy odpowiemy sobie na pytanie — ile produkować? Zobaczymy zapotrzebowanie wewnętrzne rynku. Sprawa eksportu jest sprawą dalszą.

Drugie pytanie — kto ma tę potrzebną ilość warzyw i owoców wyprodukować?

Przekonywujących wypowiedzi Lityński nie daje. Sugestie, że czynić to winni nie podmiejscy chłopci budzą szereg wątpliwości. Wątpliwości te zjawiają się jednak i przy innych propozycjach, takich np. że producentami będą: 1 — badylarze, 2 — P.N.Z., 3 — wsie gminne, 4 — rolnicze spółdzielnie produkcyjne, wreszcie 5 — Dolny Śląsk, a przede wszystkim południowa i wschodnia część Krakowskiego i cała Rzeszowszczyzna. Niechże planiści rozstrzygną tę sprawę i to rozstrzygną uwzględniając wszystkie jej strony. Oddając głos w kwestii techniki produkcyjnej specjalistom, chcę przy tej okazji zwrócić uwagę na kilka narzucających się momentów natury społecznej.

Oto cała akcja musi być zorganizowana w taki sposób, żeby omawianych produktów wystarczyło dla wszystkich, żeby produkty te były wszystkim w każdej porze roku dostępne i żeby było na nie faktyczne zapotrzebowanie. Ostatni warunek brzmi paradoksalnie, ale jest oczywisty, gdyż w praktycznej obserwacji naszej wsi notujemy tragicomiczne sytuacje. W łowickim np. powiecie (który jest pod względem kulturalnym raczej przodującym niż zapóźnionym) są wsie, na których jest więcej opasów niż drzew owocowych. Przypadkiem się zdarza, że gospodarz wsadza przy płocie cierpką winię lub śliwkę, wyznaczając jej funkcję zatykania dziury we wzmiarkowanym płocie. Czasem wiatr posieje na między „szlachetna”

## Do czego to podobne?

Znam wsie o niesłychanie żywej ekspansji młodzieży do szkół, znam ośrodki, gdzie ogromną popularnością cieszą się wykłady Korespondencyjnego Gimnazjum i Liceum Związku Młodzieży Polskiej, wiem również o tym, że młodzież chłopską można zdobywać przede wszystkim stwarzaniem jej możliwości kształcenia się. Na dowód niech służy fakt, że w ciągu 21 lat (od 1918 do 1939) we wsi Godzianów (patrz „Wieś” nr 42 (171) art. J. Mozgi i D. Gałaja — „Przedsiębiorcy — działacze wsi”) wyższą szkołę ukończyły 2, a średnią jedna osoba. Natomiast w roku szkolnym 1947/48 było w szkole średniej 35, a na uczelniach wyższych 9. Drugim przykładem niech będzie wieś Wysoka w powiecie ławickim. Przed wojną kształciło się w szkołach średnich 15 osób. Obecnie na wyższych uczelniach studiuje 22, a w średnich około 80. Gimnazjum i Liceum Korespondencyjne Z.M.P. uczy blisko 5000 ludzi. Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne przerabiane są przez ponad 30.000 ludzi, z czego 80% stanowi młodzież wiejska.

Co to znaczy? Znaczący to, że zbieramy na wsi owoce działalności nowego ustroju. Znaczący to, że u młodzieży chłopskiej rodzi się naturalne pojęcie swojej równowartości (bez sięgania do skarbca agrarystycznego - Nieckowej honorowości i chłopskiej nadwartości) w stosunku do reszty narodu, że młodzież idzie do miasta po wiedzę, a nie na służbę, że kształtują nowy styl kultury, że obecny ustrój pośpiesznie likwiduje odwieczny model „pan — chłop”: pan do rządzenia, rozkazowania, „odczuwania” kultury duchowej i „tworzenia” tej kultury, a chłop do roboty, do służenia, do wykonywania zleceń.

Jest to zatem niesłychanie wagi osiągnięcie ustroju, jest to załatwienie rachunków powstałych w państwie - opiekunów klas posiadających. Wieś płaciła państwu — państwo płaci obecnie wsi. Możliwe to jest dlatego, że państwo zmieniło funkcję. Dawniej opiekowało się klasami posiadającymi i głosiło solidarystyczny społeczny, teraz zaś pomaga klasie pracującej likwidować resztki „starego porządku”. Pęd do nauki notowany u młodzieży chłopskiej jest jednym z licznych przypadków ilustrujących ten proces. To jest jego pozytywna strona. Przykładem negatywnej zaś jest panikarskie westchnienie żony jednego z wybitnych przedstawicieli wólnych zawodów w Łodzi (pochodzenie wiejskie, tęskni za wsią w stylu „Wsi i Państwa”, tzn. chętnie należałaby do T-wa Przyjaciół Rodzinnej Wsi, na ustrój narzeka znacznie mniej niż inni koledzy, czyli jest postępową itd.). Westchnienie to brzmi: proszę pani, proszę pani, jakież to czasy. Ze wsi, proszę pani, przyjeżdżają teraz do miasta, ale przyjeżdżają się uczyć, a nie pracować. Nie chcą pracy. Ja już od trzech miesięcy szukam służącej i nic. Taką dziewczyną woli się uczyć, niż służyć. Do czego to podobne?...

Gdyby owa pani pytanie swoje skierowała do (nieodostępnej służącej) wiejskiej dziewczyny z medycyny, polonistyki, lub z któregoś wydziału W.S.G.W., zapewne otrzymałaby odpowiedź — to jest podobne, proszę szanownej pani, do sprawiedliwej Polski. A poza tym niech pani przeczyta wypowiedzi Chałasińskiego i Kotta o inteligencji polskiej („Społeczna genealogia inteligencji polskiej” i „O Lalce Prusa”). Prawdopodobnie lekarstwo to pomoże pani. W wypadku ciężkiego chronicznego, stanu choroby przy konsumpcji tego lekarstwa należy stuknąć się od czasu do czasu w czoło.

## Instykt wojowniczy czy brak wyrobienia?

W numerze 41 „Tygodnika Powszechnego” zwraca uwagę artykuł p. Anny Reiterowej, zatytułowany — „Czytelnictwo młodzieży w świetle badań”.

Powołując się na wyniki badań Instytutu Kulturalno - Oświatowego przy „Czytelniku”, pisze autorka wspomnianego artykułu, że najpoczytniejszym wśród młodzieży pisarzem jest Sienkiewicz ze swoją „Trylogią”. I przytacza następujący fragment z pracy zbiorowej Instytutu:

„Młodzież stwierdza, że znajduje się w jego dziełach pokrzepienie wewnętrzne, zadowolenie dumy narodowej, radość z przeżywania zwycięstwa i triumfu oręża polskiego, wielki zasób humoru i wesołości, naukę historii, podaną w sposób łatwy i przyjemny... zaspokojenie instyktów wojowniczych i głodu silnych wrażeń”.

Z kolei dowiadujemy się, że obok Sienkiewicza największą popularnością wśród młodzieży cieszą się — Orzeszkowa, Reymont, Prus, Kossak-Szczucka, Makuszyński, Curwood i Verne.

Można by rzec prostą zastanawiać się nad tym, czy to jest dobrze, że młodzież uczy się łatwo i przyjemnie historii na „Trylogii” albo, że posiada wojownicze instynkty, chodzi mi jednak o co innego, mianowicie o wnioski, jakie wysnuła z powyższego publicystka „Tygodnika Powszechnego”.

Oto one: „młodzież czyta dużo, umie wybrać i ocenić prawdziwie dobrą książkę. Ulubione książki utrzymują swoją, niezmienną od okresu przedwojennego aż do chwili obecnej pozycję. Zmienić ją może nowa, na tym samym poziomie artystycznym stojąca produkcja literacka, dostosowana do nowych pojęć i upodobań, gdy je wytworzy nowa rzeczywistość”.

Coś tu nie jest w porządku. Wierzę, że p. Reiterowa pomyślała głęboko, zanim sformułowała cytowane wnioski, a jednak co krok to większa pomyłka.

Zacniemy od początku. Młodzież nie czyta dużo, ale właśnie mało. Zdanie to potwierdzą ci wszyscy, którzy uczestniczyli przy niedawnych egzaminach maturalnych. Młodzież u-

F A K T Y  
i  
Z D A N I A

mie wybrać książkę? Żeby wybrać, trzeba mieć z czego. Tymczasem od wielu lat przepisana na średnie szkoły lektura obejmuje tylko wspomnianych wyżej autorów. Rzadko kiedy sięga w literaturę okresu międzywojennego, prawie zaś wcale w ostatnie 4 lata. Więc cóż to za dobry wybór? Z czego? Wiadomo przecież, że dziewczęta czytują chętnie nie tylko Czarstką, ale również Zarzycką i Caurts-Mahlerową, a chłopcy Baxtera i Zane Grey. Ale o tym kroniki milczą.

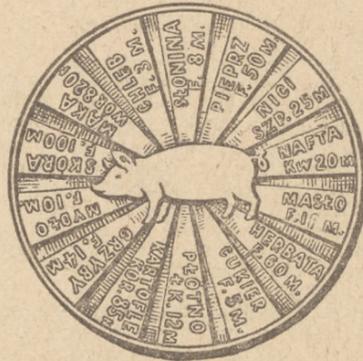
Następnie wynika z wniosków p. Reiterowej, że stan taki utrzymuje się dotąd, póki nowa rzeczywistość nie wytworzy nowych pojęć i upodobań, póki nie powstanie nowa, dobra literatura powojenna.

Jakto, więc nie ma powojennej literatury na dobrym poziomie? Niechęć autorki wspomnianego artykułu do Kotta, Ważyka, Jastruna, Hertza, Brezy, Broniewskiego, Andrzejewskiego, Nałkowskiej mogłaby być z pewnych względów zrozumiała, ale po wojnie piszą przecież: Żukrowski, Dobraczyński, Gołubiew, czy Zawięski. Czyżby ich tak nie warto było czytać?

Proponuję zupełnie inne wnioski; mianowicie: nasza młodzież nie czyta dużo i często wybiera książki złe. Ulubione od kilkudziesięciu lat przez młodzież książki utrzymują swą pozycję nie dlatego, że przez te lata nikt w Polsce nic dobrego nie napisał, ale dlatego, że młodzież nie zastawia się odpowiednio obowiązującej lektury i nie wykląda dzieł literatury od Wielkiej wojny do chwili obecnej.

## Trzydziestolecie spekulacji (1918-1948)

Leży na moim biurku nie byle jak nabytek numizmatyczny: „Medal wybity na chwałę spekulantom w 4 roku wojny 1918”. Po jednej stronie tego medalu tuż pod datą wyryto w brązie pasek, jako symbol spekulacji, po drugiej — opasła świnią, jako znak herbowy spekulantów. Świnia jest umieszczona w



środku medalu, zaś wokół niej utrwalono na wieczną rzecz pamiętkę ceny najważniejszych artykułów pierwszej potrzeby. Oto one:

1. Mąka worek	— 820 marek
2. Chleb funt	— 3 "
3. Słonina funt	— 8 "
4. Pieprz funt	— 50 "
5. Nici szpulka	— 25 "
6. Nafta kwarta	— 20 "
7. Masło funt	— 18 "
8. Herbata funt	— 60 "
9. Cukier funt	— 5 "
10. Piótno łokieć	— 12 "
11. Kartofle korzec	— 85 "
12. Grzyby funt	— 14 "
13. Mydło funt	— 10 "
14. Skóra funt	— 100 "

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł;

1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 3.000,— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180,— zł, półrocznie 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Świrki 2.  
D—030364

I dalej kreśli autor wizję życia pod ziemią — w miastach podziemnych, tunelach, domach bez naturalnego światła słonecznego — przy bezustannie słabnącym tętnie życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Gdy to nastąpi Stany Zjednoczone zamienią się „z państwa policyjnego, w państwo — więzienie, a więźniowie nie będą nawet wiedzieli jaka pogoda panuje poza murami więzienia”.

Wszystko będzie przecież pod ziemią. Człowiek za życia spocznie w grobie, w którym władzę sprawować będą bezsprzecznie zdolni i pojętni epigoni Hitlera. Przypomina to nieco dantejską wizję siódmego kręgu piekielnego — najniższego i najcięższego — gdzie człowiek potępiony tkwi głową w wielkim bagnie smoły, a nogami wywija w rozpalonym powietrzu.

Takie horoskopy przepowiada Ameryce i światu kapitalistycznemu amerykański socjolog. Nie mówi jednak nic co mogłoby świat uratować. Nie podaje ekonomicznych ani klasowych przyczyn, które wywołują tak tragiczną sytuację. Co gorsza — odrzuca możliwości światowego porozumienia — a bombą atomową uważa za fatum, które nieuchronnie kieruje losami świata i prowadzi go do ruiny. Jest to zapewne jakiś społeczny masochizm. Ale z wiadomymi celami. Prekursory niemieckiego hitleryzmu, od Styrnera do Spenglera wpajali w swój naród tragiczną postawę wobec życia i przepowiadali jego nieuniknioną zagładę. W konsekwencji przygotowali naród do przyjęcia hitleryzmu i zamienili go w bandę grabieżców.

Tragiczna dla Ameryki analogia.

K. S.

## „Czym jest dla Was Francja”

Sekcja Polska Radia Francuskiego ogłasza dla słuchaczy polskich konkurs na artykuł, felieton, opowiadanie, essay, nowelę lub wiersz na temat:

„Czym jest dla mnie Francja?”

Warunki konkursu podajemy niżej. Przy sposobności pragniemy zwrócić uwagę naszych czytelników, że nie powinni zabraknąć w nim głosów z naszego kręgu. Od tego bowiem, kto odpowie na pytanie konkursowe, zależy sens odpowiedzi.

W chwili, gdy toczy się walka proletariatu francuskiego o słuszną prawo do chleba i pracy, gdy ścierają się siły postępu społecznego z siłami wstecznymi, zawiśniętymi od dolarowych imperialistów — musimy udokumentować, że Francja prawdziwa, Francja wielka, Francja, która zaważyła na kulturze Europy — to Francja rewolucji i racjonalizmu, postępu i wolności. Stamtąd czerpalimy podjęty do naszych bojów wyzwoleniczych i społecznych w przeszłości, dziś wierzymy, że tamta Francja zwycięży, by zająć godne miejsce w rodzinie ludów wólnych od wyzysku i prawdziwie niepodległych.

Nasza solidarność z proletariatem francuskim oparta jest także o wieloletnie doświadczenia wspólnej walki w kopalniach i hutach Francji. Nasi reemigranci mogą powiedzieć, czym jest prawdziwa Francja. Jest to na pewno nie Francja Bluma, Quicquille'a, Mocha, ale Francja ludu francuskiego.

Redakcja

## SEKCJA POLSKA RADIA FRANCUSKIEGO W PARYŻU

organizuje wielki konkurs z nagrodami na artykuł, felieton, opowiadanie, essay, nowelę lub wiersz na temat

„CZYM JEST DLA MNIE FRANCJA?”

Warunki konkursu:

1. Objętość prac nie może przekraczać 12 stron maszynopisu z odstępem, tzn. 300 wierszy.

2. Prace nadsyłać należy najpóźniej do dnia 1 lutego 1949 roku na adres: Radiodiffusion Française, Section Polonaise, 118, av. des Champs Elysées, Paris 8-e, France — albo: Instytut Francuski, Warszawa, ul. Sikorskiego 35.

3. Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo jednorazowego ogłoszenia prac nagrodzonych i wyróżnionych w audycjach polskich z Paryża i opublikowanie ich przekładu w jednym z pism francuskich.

4. Autorzy trzech najlepszych prac otrzymają jako nagrody 5-lampowe radio-odbiorniki „Excellence 300”, które ofiarowała na konkurs jedna z najlepszych wytwórni francuskich „Sonora”.

5. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone dnia 15 marca 1949 roku.

## KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

Wydawnictwo Gebethner i Wolf

Jan Wiktor — W górskim słońcu — str. 78.  
Władysław Reymont — Tomek Baran — str. 64.

Eliza Orzeszkowa — Gloria victis — str. 46.  
Stanisław Wyspiański — Warszawianka — str. 51.

Bolesław Prus — Na wakacjach. Katarzynka — str. 26.

Henryk Sienkiewicz — Za chlebem — str. 108.

Kornel Makuszyński — Awantura o Basie — str. 214.

Włodzimierz Perzyński — Klejnoty — str. 475.

Ewa Szelburg-Zarebina — Ludzie z wosku — str. 286.